ROK II Nr. 32 (81) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 10 sierpnia 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



IRUSIECZKA I JEJ MASKOTA. (fot. Van Dyck).

MARJAN KURLETTO.

Na polskich szlakach marszowych

Powstał w Polsce sport, który jest wielki i potężny jak żaden inny. Jest nim mało znany społeczeństwu sport marszowy. Od roku 1924, kiedy poraz pierwszy padła i została zrealizowana myśl urządzenia t. zw. marszu „Szlakiem Kadrówki", sport ten rozwinął się b. silnie, stawiając dzisiaj, na start różnych wielkich marszów w całej Polsce, ogromne masy zawodników.

Powie może ktoś, że chodzić potrafi przecież każdy. Zgoda — ale chodzić szybko i długo potrafi tylko człowiek specjalnie w tym kierunku zaprawiający się.

Gdybyśmy mogli spojrzeć kiedyś w niedzielę, z lotu ptaka na nasz kraj, zobaczylibyśmy dziesiątki setek małych oddziałów poruszających się, z bronią na ramieniu, po polskich szosach i drogach polnych.

To oddziały przysposobienia wojskowego, odbywające swe niedzielne ćwiczenia w marszu — przygotowujące się do marszów eliminacyjnych w powiatach, okręgach, by kiedyś, jeśli się powiedzie, stanąć na głównym szlaku „Kadrówki".

Na ogół rzecz błaha, zda się mała.

Tak jednak nie jest. Bo weźmy, ile pracy, ile zachodu trzeba włożyć, by dobrać 13 odpowiednich piechurów — dobrze ich wytrenować, odpowiednio wyekwipować i wysłać na marsz. Są to przecież ludzie żyjący przeważnie z pracy własnych rąk, niezamożni, w kierunku sportu prawie, że nie nastawieni, ludzie przeważnie wsi i ośrodków roboczych.



Na szlaku...

Kto widział maszerujące dziarskie 13-tki na różnych szosach Polski, musi przyznać, że już sama praca zespolenia tych ludzi w jednolity, jednolicie czujący się oddział, to dużo, to bardzo dużo.

Wprowadzenie sportu marszowego i jego kontynuowanie, to wyciągnięcie przyjaznej ręki do ogromnych mas, które gdyby nie marsze, wogóle nie prędko ruszyłyby w kierunku uprawiania innych sportów, z powodu braku bądź to odpowiednio wykwalifikowanych instruktorów, bądź też boisk i sprzętu sportowego.

Posiadamy już dzisiaj w Polsce pewną tradycję marszową. Ale nie dużą, bo tego roku odbędzie się najpotężniejszy z marszów t. j. 122 klm. „Kadrówka". Już poraz siódmy z rzędu w sześciu dotychczasowych marszach „Kadrówki" brało udział z górą 5.000, zaś w czterech marszach Sulejówek—Belweder z górą 3.500 zawodników.

Jeśli do tego dodamy zawody eliminacyjne w powiatach i okręgach, poprzedzające główny marsz — i jeżeli przyjmiemy za podstawę obliczeń, że w zawodach eliminacyjnych bierze udział na terytorjum każdego marszu najmniej 60 drużyn, to, w rezultacie, samych zawodów wstępnych, będziemy mieli na naszych szosach około 8.000 maszerujących zawodników.



Drużyna oddaje przepisowe strzały po marszu.

Są to cyfry mówiące same za siebie i niema dzisiaj tak potężnej gałęzi sportu w kraju, który mógłby się wykazać takiemi cyframi uczestników zawodów.

Wyrobił się już też typ wytrawnego „wygi" marszowego, wszystko wiedzącego, wszystko widzącego i wszystko przewidującego. Temu niczem już nie zaimponujesz.

Taki stary wiarus prowadzi zwykle młodą drużynę — trzymając „fuksów" pod ostrą kuratelą.

Wie ci taki stary drużynowy, jak należy się w drodze odżywiać, co wdziać na grzbiet by pot się nie „ zastał" w bieliźnie, jaką założyć skarpetkę lub onucę, jakie dobrać obuwie, jak nosić karabin, wie też, że nie wolno się na odpoczynkach zbytnio poić napojami, a już broń Boże zimnemi, że nie wolno siadać na wilgotnej ziemi. Umie też znaleść odpowiednią dla drużyny kwaterę oraz porządnie po marszu chłopców nakarmić. Taki ci się nie da użyć nikomu a już na pewniaka mógłby niejednego nauczyć młodych sędziów.

Dzisiaj w obliczu zbliżającej się VII kadrówki, zostały już przeprowadzone eliminacje okręgowe w Poznaniu, Krakowie, Lwowie, Brześciu n/B., Przemyślu, Lublinie, zaś powiatowe w okręgu grodzieńskim, toruńskim, warszawskim i łódzkim.

Z każdego okręgu wchodzi do głównego marszu 6 drużyn w czem 1 wojskowa, 3 związku strzeleckiego oraz 2 innych stowarzyszeń i klubów sportowych.

Inowacja tegoroczna marszu, to wprowadzenie 1-minutowego strzelania z broni długiej do celów polowych, jako uzupełnienie marszu i podkreślenie konieczności opanowania przez drużyny w dostatecznym stopniu umiejętności posługiwania się bronią po większych wysiłkach.

(Dokończenie na str. 21-ej)



Sanitarjusze opatrują na postoju sflatygowane nogi piechurów.



Mądry drużynowy nie pozwala zbyt wiele pić po forsownym marszu.



Na pograniczu tybetańskiem, na rubieży Świętej Ziemi ciągną się wysokie szczyty górskie pokryte wiecznemi śniegami.

Zdobywanie szczytów górskich

Wśród lasów i skał, broniących dostępu do „Królowej łańcuchu Himalajskiego", góry Ken - czin - dżunga (28.150 stóp) znajduje się niewielki klasztor mnichów buddyjskich, którzy aż tu uciekli od zgiełku i gwaru świata. W klasztorze tym znaleść można zarzuconą mogiłę młodego amerykańskiego podróżnika Farmera, który przed wieloma laty uczynił szaloną próbę wdarcia się na nieprzystępną górę sam, w towarzystwie kilku krajowców - tragarzy. Matka Farmera prosiła członków, odbywającej się obecnie międzynarodowej ekspedycji pod dowództwem profesora Dürenfurta, by odwiedzili mogiłę syna, który zginął podczas niewiarygodnie trudnej wyprawy górskiej. Prośbie tej uczyniono zadość i każdy z uczestników wyprawy mimo woli zadrżał na myśl, iż być może, że w krótkim już czasie do tej mogiły przybędzie inna.

Lecz niepowodzenie Farmera nie przestrasza bynajmniej członków ekspedycji Dürenfurfa. Wiedzą oni bowiem dobrze, iż wdzierają się na górę w warunkach, bez porównania lepszych. Próba młodego Amerykanina była zgóry skazana na niepowodzenie — jeden bowiem człowiek, bez względu na swe kawlifikacje nie jest w stanie zdobyć szturmem himalajskich szczytów; powodzenia może się spodziewać tylko licznie z doboroywch jednostek złożona ekspedycja, doskonale wyekwipowana i zaopatrzona we wszystko niezbędne. Wyprawa na zdobycie szczytów wysokich gór azjatyckich, musi być tak starannie przygotowana jak ekspedycje do bieguna północnego. Dziesiątki ekspedycyj polarnych, złożonych z odznaczających się męstwem i żelaznem zdrowiem uczestników, zginęły tylko dlatego, iż wówczas nie zwracano należytej uwagi na zaopatrzenie się w odpowiednią odzież, należytą jakość zapasów żywności, przestrzeganie zasad higieny i t. p. Stopniowo, doświadczenie wielu ekspedycyj nauczyło ludzi podróżowanie w strefach podbiegunowych i znoszenie straszliwych mrozów zimy polarnej tak, iż obecnie podróżowanie w tych okolicach jest stosunkowo bezpieczne. To samo odnosi się do wyprawy na szczyty gór himalajskich.

Głównem zadaniem kierownika wysokogórskiej ekspedycji jest, by partja szturmowa, która bezpośrednio zaatakuje szczyt, dotarła do podnóża w warunkach jaknajwygodniejszych i w najlepszem zdrowiu. Przytem muszą być zgóry przewidziane wszystkie, bez wyjątku, ewentualności, aż do najdrobniejszych szczegółów, bowiem źle zeszyty but lub nieposmarowanie we właściwym czasie twarzy kremem, powoduje wyjście z szeregu najtęższych nieraz członków ekspedycji.

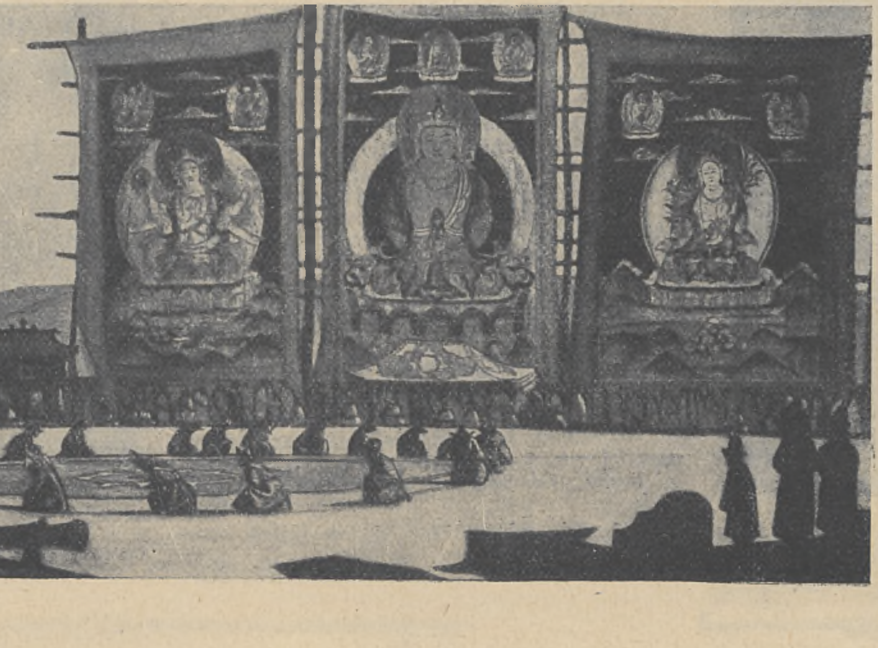
W chwili obecnej technika wyekwipowania wysokogórskich ekspedycyj stoi na dość wysokim poziomie. Na pierwszym planie figuruje kwestja odzieży. Winna ona odpowiadać trzem warunkom: musi być lekką, wygodną i ciepłą. Doświadczenie wykazało, iż odzież zbyt gruba nie nadaje się do omawianego celu. Dlatego też uczestnicy wyprawy wkładają na siebie kilka par cienkiej wełnianej bielizny i dwa, trzy „pullovery". Na tem — spodnie skórzane i kurtka. O tem, że buty odznaczają się niesłychaną wytrzymałością — nie potrzebujemy wspominać. Na nogi wkłada się trzy — cztery pary wełnianych skarpetek. Rąk bronią dwie pary rękawic — wełniane od spodu i nieprzemakalne od góry.

Głowę chronią dwa hełmy — wełniany i skórzany, ciemne okulary, nie przepuszczające ultra - fioletowych promiemi i maska skórzana. Prócz tego — twarz musi być stale posmarowana grubą warstwą kremu. Do obowiązkowej odzieży należy również... broda. Wszyscy uczestnicy ekspedycji od chwili przybycia do Indji przestają się golić, gdyż gęsty zarost twarzy chroni skórę od strasznych oparzeń, które w konsekwencji pociągają za sobą febrę połączoną z wysoką temperaturą.



Jedynie kapłan tybetański, znający tajemnice Świętej Ziemi Tang-la uśmiecha się enigmatycznie.

Wnętrze świątyni tybetańskiej, w której korzą się serca przed nieśmiertelnym Krishną.



Druga troska — to żywność. W miarę wspinania się coraz to wyżej apetyt znika — i ludzie powinni zmuszać się do jedzenia, by nie osłabnąć. Organizm znosi najlżejsze pożywienie i uczestnicy szturmowych partyj, atakujących Everest, żywili się tylko cukrem, mlekiem skondensowanem i biszkoptami. Na wielkich wysokościach powstaje zato inna kwestja; chodzi o to, iż na tych poziomach, wskutek suchego powietrza i silnego parowania, ludzie odczuwają stale pragnienie. Jest to kwestja bardzo poważna, gdyż pragnienie pozbawia możliwości wspinania się. Zmusza to do zabierania ze sobą znacznej ilości paliwa, by rozpuszczać śnieg i otrzymywać wodę.

Członkowie ekspedycji Dürenfurta przebędą kilka tygodni w rejonach wiecznych lodów, na wysokości 20.000 i więcej stóp i w tym czasie będą nocować w namiotach, których konstrukcja została opracowana na podstawie nie zawsze przyjemnego doświadczenia. Namioty są obliczone na dwie — trzy osoby, dają się szybko ustawić, są tak mocne — że mogą oprzeć się silnym wichrom, hulającym na pochyłościach Ken - - czin - dżunga. Na podłodze namiotu rozkłada się dywanik, na którym — w workach do spania układają się podróżnicy.

Fizjologiczne działanie okolic wysokogórskich na organizm człowieka zostało szczegółowo zbadane zarówno przez doświadczenie licznych ekspedycyj jak i dzięki licznym eksperymentom, które przeprowadzono w laboratorjach nad ludźmi, umieszczonemi w komorach, skąd stopniowo wypompowywano powietrze. Lekarze opracowali cały szereg prawideł mających na celu przysstosowanie i ochronę od porażeń słonecznych i ślepoty, powstającej na skutek nieustannego działania bieli śnieżnej.

Zarzucono zabieranie z sobą aparatów tlenowych, gdyż doświadczenie wykazało, iż stanowią one zbyt wielka przeszkodę w posuwaniu się, i że można się bez nich doskonale obejść. Ludzie bowiem przyzwyczajają się stopniowo do życia i poruszania się na wskazanych wysokościach. Zamiast w aparaty tlenowe — ekspedycja Dürenfurta zaopatrzyła się w dużą ilość osobliwych tabliczek chemicznych, które przy spalaniu wydzielają wielka ilość tlenu.

Z kolei następują trudności transportowe. Należy przetransportować cały ekwipunek ekspedycji, namioty, instrumenty i żywność dla 250 ludzi do podnóża góry — co wymaga wspięcie się na wysokości 18.000 stóp (przełęcz Kang). U podnóża góry zakłada się główny obóz poczem oddział pomocniczy, zabierając najlepszych tragarzy, wyrósza wyżej celem założenia całego szeregu obozów łacznikowych.

Gdy wszystkie te prace przygotowawcze będą ukończone — oddział szturmowy, złożony z 2—3 ludzi wyruszy na zdobycie szczytu. Jest przytem rzeczą bardzo możliwą, iż próba ta zakończyć się może niepowodzenie. Przeszkody, które mają do pokonania odważni podróżnicy, jaskrawo uwypuklił badacz angielski Freshild, który napisał książkę p. t. „Dokoła Ken-czin-dżunga". Mówi o tem: „Można przypuszczać, iż Ken-czin - dżunga specjalnie zbudował djabeł w tym celu, by nie pozwolić ludziom dotrzeć do szczytu; wszystkie słabe punkty są silnie zabarykadowane ogromnemi zwałami skał i lodu".

W kraju wszelakiej wolności

Ileż to razy, czytając awanturnicze podróże Karola May'a, zachwycaliśmy się sylwetkami jego bohaterów, którzy, obwieszeni conajmniej półtuzinem rewolwerów i noży, wjeżdżali konno do pierwszorzędnej restauracji w St. Louis, witani huraganem oklasków pięknych dam i pobłażliwym uśmiechem szeryfa oraz miejscowej policji. Śniła nam się wówczas bezgraniczna wolność, tego najbardziej demokratycznego kraju pod słońcem, w którym obywatelowi wolno było robić wszystko, co chciał i był za to mile widziany, o ile jego czynom przyświecał choćby promyk romantycznej przygody.

Poczciwe władze łaskawem okiem przyglądały się wybrykom jankesów, nie robiąc z tego użytku, ba... nieraz biorąc same żywy udział w ich perypetjach.

Poza literaturą sensacyjną, filmy amerykańskie, oparte na życiu cowboyów, utwierdzały nas w tem mniemaniu, że Ameryka — to prawdziwy raj na ziemi, azyl dla ludzi przemęczonych ograniczeniami praw i przepisów, kraj prawdziwej wolności.

Tyle dały nam filmy i książki. Jednakże poczciwy cudzoziemiec, napompowany tego rodzaju historjami, doznaje ogromnego zawodu w chwili, gdy stopa jego spocznie na ziemi amerykańskiej.

Pierwszem jego wrażeniem będą paradoksy życiowe, które się spotyka tutaj na każdym kroku. A więc, podpływając do portu w New-Yorku, wita z podziwem i zachwytem symbol wolności Ameryki. Symbol ten, ogromny jak wszystko, co amerykańskie, mierzący 100 metrów wysokości, to posąg wolności, który w swym potężnym piedestale ukrywa... więzienie. Wolność i więzienie, to dwa sprzeczne ze sobą pojęcia, które będą kroczyły przez cały czas wślad za rozentuzjazmowanym turystą.

Każdemu podróżnikowi, wysiadającemu w porcie, winni specjalni funkcjonarjusze rozdawać mapkę wszystkich stanów, z załączonemi przepisami, co gdzie wolno, a czego nie wolno. Nauczywszy się dopiero tego na pamięć można śmiało wyruszyć wgłąb tego dziwnego kraju, pełnego szczególnych emocji, niespotykanych w innych krajach, „jęczących" pod rządami despotów.

Po raz pierwszy turysta zetknie się z rozbieżnością „interpretowania" praw krajowych w restauracjach, gdzie zażąda kieliszka alkoholu. W New-Yorku kelner chętnie postawi przed tobą nawet całą butelkę zakazanej rozkoszy, podczas gdy w stanie Washington, za samo niewinne zapytanie: „Czy nie macie przypadkiem wódki?" grozi grzywna pieniężna i kara więzienia.

Jak wolni Amerykanie zachowują prawo prohibicyjne świadczy charakterystyczna anekdota, którą wszędzie usłyszysz, z najrozmaitszemi dygresjami. Mianowicie pewien obywatel wypadł z pociągu. Spadając z wysokiego nasypu, złamał obie nogi i lewą rękę. Nic dziwnego, że zemdlał z bólu. Kiedy w parę godzin po tem ocknął się, poczuł jakąś mokrą ciecz, pokrywającą jego ubranie. Przerażony, zabrał się macać zdrową ręką po tylnej kieszeni spodni, poczem z zadowoloną miną mruknął: „Chwała Bogu, to tylko krew, a ja myślę, że mi się moja whisky rozlała".

Biada naiwnemu turyście, któryby chciał pojechać sobie na spacer, z młodą amerykaneczką, samochodem przez most, prowadzący do New Jersay. Natychmiast, po drugiej stronie zatrzyma auto policjant, z zapytaniem, jaki stosunek łączy parę młodych.. O ile amerykanka jest „energiczną", a turysta zasobny w gotówkę, rozegra się następująca scenka:

— Ten pan mnie porwał — krzyczy dziewczyna.

— Panie, — wrzeszczy groźnie policjant do zdumionego i oniemiałego turysty — winien pan natychmiast poślubić tę młodą damę. W przeciwnym bowiem razie... do paki!

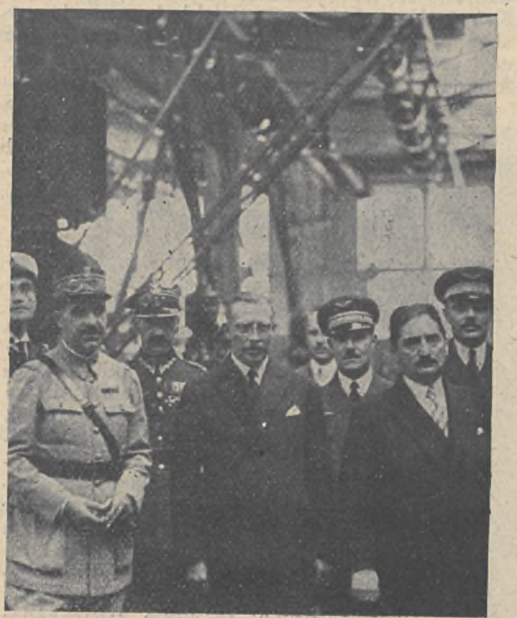
Kończy się zwykle małżeństwem, a wkrótce potem rozwodem, oczywiście za grubem odszkodowaniem.

A coby się stało, gdyby turysta, podróżując po stanie Pelsynwanja, zaproponował w niedzielę, by zagrać w partyjkę brydża? Odsiedziałby z pewnością za niewczesną propozycję w kryminale. Trudno! Niedziela jest wypoczynkiem oraz dniem, poświęconym Bogu i czytaniu biblji, twierdzą władze stanowe. Wszelkiego rodzaju rozrywki, jak karty i kino rozpraszają stan skupienia obywateli, którzy winni tylko myśleć o życiu zagrobowem.

Pocałunek w miejscu publicznem, to skandal, pociągający za sobą ostre kary. Policja uważa, że tego rodzaju zgorszenie publiczne ma zbyt zgubne skutki dla moralności publicznej. Dlatego na dworcach kolejowych nie zobaczycie, żegnających się, którzyby ośmielili się pocałować. Nawet małżeństwa są pociągane do odpowiedzialności. Wszystko to można robić u siebie w domu, nawet propagować największą rozpustę. Na to pruderja władz rządowych ne zwróci wcale uwagi.

W kraju, gdzie w pewien określony dzień, każdy obywatel ma prawo przyjść do Białego Domu i uścisnąć dłoń prezydenta, gdzie wolność obywatelska jest podstawą konstytucji, gdzie demokratyzacja poczyniła największe postępy, istnieje tłum obywateli, uważa-

(Dokończenie na str. 17-ej).



Francuski minister lotnictwa p. Laurent Eynac zwiedził z zainteresowaniem nasze urządzenia lotnicze.

Pod włos

DOLARY.

Są ludzie, którzy twierdzą, że dolary leżą na ulicy. Bóg mi świadkiem, żem nigdy dolara nie znalazł. Raz podniosłem z ziemi niklowe dwadzieścia groszy, i to okazało się, że były fałszywe! No, ale to już mój prywatny pech!

Mój przyjaciel Jacuś twierdzi natomiast, że dolary leżą między stolikami w kawiarni. Nie wiem, czy istotnie tam leżą, ale to wiem napewno, że stale przesiaduje w kawiarniach.

— Człowiek interesu inaczej postępować nie może — utrzymuje z głębokiem przeświadczeniem.

Nie jestem, niestety, człowiekiem interesu, ale od czasu do czasu ci ludzie dopuszczają mnie do swego grona.

— Może jeszcze wyjdziesz na ludzi — zachęca mnie Jacuś. — Trzeba tylko uważać na konjunkturę. O, widzisz tego jegomościa w jasnem ubraniu?

— Widzę...

— Ten o mało nie zarobił wczoraj tysiąca dolarów! Tak! Tysiac dolarów! Proponowano mu, żeby kupił za bezcen nowoużywane auto.

— No, no. I nie kupił?

— Nie. Zawahał się. W tem cała rzecz, żeby się nie wahać! Kupił Ajzensztok.

— Aha!

— A tamtemu na lewo proponowano dziś rano splajtowaną fabrykę w Łodzi. Nie kupił, wahał się...

— I kupił Ajzensztok?

— Skąd wiesz?

— Nie, tak tylko mi się wyrwało.

— Wyobraź sobie, że Ajzensztok na tej fabryce już zarobił pięć tysiecy.

— A który to jest ten Ajzensztok?

— Nie, tu go niema. On tu nie bywa. Żałuje sobie na kawę. On jest z zawodu handlarzem skór.

— A ten, co się wahał, jaki ma zawód?

— O, to dzielny chłopak. On jest z zawodu sportowcem amatorem, a poza tem człowiekiem interesu.

Wychodząc z kawiarni myślałem o tem, czy, gdy ich spotkam za tydzień, będą już miljonerami. Nie jest to zupełnie pewne, natomiast przypuszczam, że sportowcowi się poszczęści w niedzielnym meczu i dopomoże Jacusiowi, by mi oddał oddawna pożyczone pięćdziesiat złotych.

Lecz, mój Boże, czy i ja nie jestem optymistą?

BONZO.



Gościem naszym jest obecnie francuski minister robót publicznych, p. G. Pernot. P. Pernot odwiedzi wystawę w Poznaniu.

Turniej „7 DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

Warunki turnieju

Podobizny artystek, nadsyłane przez Czytelników, będą kolejno umieszczane w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, w dn. 6 września, artystka, uznana za najbardziej czarującą, otrzyma cenną nagrodę w postaci

BONU NA PORTRET

wybitnego portrecisty Jana Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.



Stanisława Karlińska.



Zula Pogorzelska

Oświadczam się tobie, piękna, czarująca Zulo, dodając w tak szczególny sposób głos swój do chóru podobnych wyznań, jakie Ci towarzyszą od pierwszego Twojego występu w Warszawie. Jesteś uosobieniem czaru, najmilszą, najweselszą, najbardziej przemawiającą, jak mówią Amerykanie, do Sex appeal'u — polską Mistinguet'ą. Na Ciebie głosuję, zachowując na razie incognito.

Adorator.

GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW

W dzisiejszych czasach wyścigu pracy i ciężkiej walki o byt, kiedy człowiek nie ma czasu ani na wielką sztukę, ani na książkę, gdzież szukać chwili zapomnienia, jeśli nie w teatrzyku?... A kogo obrać królową czaru — jeśli nie miłą i wdzięczną Karlińską!

F. Dąbrowski.

KUPON Nr. 6 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i załączyć do fotografji.

WARNA

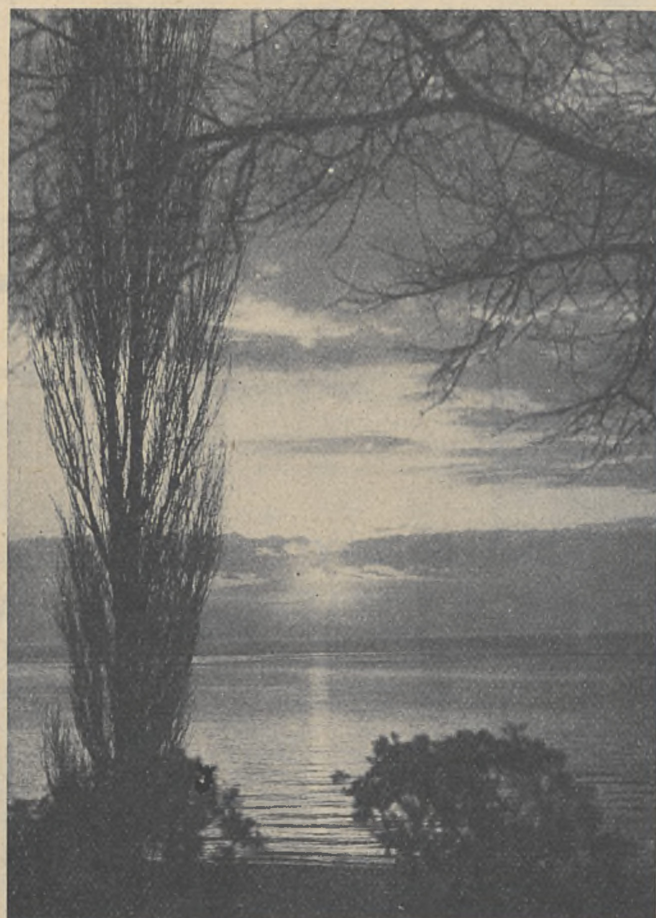


Widok plaży w Warnie, dokąd coraz więcej wyjeżdża Polaków.

Warna. Szafirowy bezkres południowego morza. Powietrze — drgające utajoną energją słoneczną, przepojone ozonem i tlenem, rzeźkie od własnych wód powiewów. Bezchmurna kopuła nieba. Nad półkolistą zatoką, na łagodnie wznoszących się zboczach amfiteatralnie wznosi się białe miasto, najeżone wieżycami licznych świątyń, ujęte w ramę soczystej zieleni sadów, winnic i parków, zbiegających, aż hen, ku samemu wybrzeżu. Powyżej miasta, w odleglejszej perspektywie rudobure skały, uwieńczone gęsto krzewami. A wszystko to skrzy się, lśni, mieni w tęczowym promienistym otoku.

Wreszcie zapada powoli. Rozsnuwa się perłowy zmierzch. Błękitnawe, nikłe, mgiełki przezroczystą zasłoną otulają krajobraz, jak kwitnące oblicze pięknej, nanum. Na wąskim cyplu, okalającym port od strony południowej rozbłyska światło morskiej latarni Galaty i pozłocistą smugą ściele się po wodach zatoki. Na niebie ukazują się pierwsze gwiazdy, których blask jest tutaj tak silny, tak intensywny, jakiego nie mają nigdy na naszem bladem północnem niebie. Mleczna droga zdaje się sprzęgać je z ziemią. powoli wytacza się zza horyzontu płomienista tarcza księżyca, a w miarę jak coraz wyżej wznosi się na firmamencie, promienie jej wysrebrzają się i bledną, zalewając przestrzeń wodną i usypiające miasto falami seledynowej poświaty. Powietrze nabiera przezroczystości kryształu. Od bezmiaru wód płynące wyziewy jodu i bromu rozszerzają pierś bezmierną błogością oddychania bezrozumnem ukochaniem życia, radosnem zaufaniem we własne siły...

Czyż nie jest tedy Warna, to błogosławione na ziemi miasto, idealnem miejscem pobytu dla wszystkich neurasteników hipochondryków, zdeklarowanych pes,mistów, dla ludzi przemęczonych nadmierną pracą i gorączkowym pościgiem za złudną marą szczęścia i powodzenia, dla organizmów, zatrutych wyziewami wielkich miast?



Piękna noc księżycowa w Warnie.

Można tu godzinami całemi wylegiwać się na rozsłonecznionej plaży,ścigać wzrokiem mew zwinne loty, wypatrywać ukazujące się na horyzoncie białe żagle rybackich łodzi, lub też ciemne pióropusze parowców, dążących do pełnych uroku portów Bliskiego Wschodu. Można opalić się na ciemny bronz i wraz z hipochondrją wyzbyć się wszelkich reumatyzmów, artretyzmów, sklerozy czy tuberkułów. Można rozgrzane od upału ciało raz wraz zanurzać w orzeźwiającej słonej wodzie i skroś jej przeźroczystą taflę śledzić na dnie bezustannie ruch szklistych drobinek piasku, wiecznie ruchliwą podganianych falą. Można nadstawiać piersi mknącym z poszumem perlistym bałwanom i nagle zmężniałemi ramiony rozgarniać nadbiegające strugi. Można też wsiadłszy do łodzi mknąć w morską dal, pod opiekuńczem skrzydłem żagla, lub w naprężeniu stwardniałych mięśni rzutem drgającego wiosła.

Amatorowie wycieczek, natury czynne i ruchliwe nie zadowolą się jedynie rozkoszami słodkiego na plaży bytowania. Przebiegną wzdłuż i wszerz miasto i jego okolice, znajdując na każdem miejscu rzeczy ciekawe i godne widzenia. Włócząc się w pobliżu portu, po starych dzielnicach, zamieszkałych przeważnie przez turystów, wkroczą w pewnej chwili w świat fantastycznej wschodniej bajki wśród krętych, wąskich uliczek, gdzie drzemią w słońcu niewielkie ślepe domki, o swoistej architekturze, owionie ich atmosfera nazawsze minionej przeszłości, z tajemniczością haremów i osławionych kobiecych twarzy, zmierzch starej muzułmańskiej tradycji, która tu, na ziemi dawnych „rajów" urąga bezpiecznie wszelkim nakazom reformatorskim. W licznych starodawnych cerkiewkach, często nawpół pogrążonych w ziemi, wraz z zapachem kadzidła i połyskami wyzłacanych i srebrzystych „ikon" przemówi do nich dusza zamierzchłego Bizancjum.

A od tych zabytków przeszłości, nowoczesne auto, uniesie ich wnet poprzez ludne, szerokie, czyste ulice całkiem europejskiego miasta na inne, dalsze, niemniej ciekawe wycieczki. A więc do starożytnego klasztoru Aładża, wykutego w skałach przez pierwszych wyznawców chrystjanizmu. Do Euxinogradu, prześlicznej rezydencji carów bułgarskich, ukrytej w gąszczu wspaniałego parku, pełnego egzotycznej roślinności. Nad wybrzeże fantastycznego jeziora Deronja, którego iryzujące wody barwami tęczy malują każdy grążony w nich

(Dokończenie na str. 21-ej)



Gościnność i uprzejmość mnichów bułgarskich z pod Warny zyskała im ogólną sympatję letników.



W okolicach Warny jest parę klasztorów, w których letnicy znajdują tanie i wygodne mieszkania

JIM POKER.

NARZECZONA

Przestrzeń Medjolan — Piotrowice transport amunicyjny Nr. 721 przebył stosunkowo szybko, bo w pełnych dni dziewięć. Wchodził w to trzydniowy postój w Wiedniu gdzie dla zasilenia naszych lokomotyw trzeba było wyciąć jakiś „Wiener - Stadtwald". Bowiem w owym miesiącu grudniu 1919 roku, ex-podwójna monarchja cierpiała na chroniczny brak węgla.

Jednak zaraz na wstępie do Polski Nr. 721 ugrzązł. Na przebycie „magicznego trójkąta" Trzebinia — Szczakowa — Strzemieszyce zużyłem akurat tyle czasu ile na podróż z Medjolanu do Salzburga.

Najprzód trzymano transport całą dobę w Trzebini. Mrzył drobny deszcz ze śniegiem, pławiąc nas w melancholji. Z ospałego budynku stacyjnego coraz wyglądał jakiś pan w wysokiej austrjackiej czapce. Ale rzuciwszy okiem na długi wąż zmartwiałych wagonów powracał spiesznie do ciepłego biura, snać zniechęcony światem wogóle, a naszą obecnością w szczególności.

— Kiedyż wreszcie pojedziemy panie naczelniku?

Zaraz nadejdzie parowóz z Granicy, to panowie pojadą.

To zaraz, jak zaznaczyłem, trwało całą dobę. Wreszcie nad ranem przybył stary, wyranżerowany parowozik, służący oddana tylko do manewrów stacyjnych. Nie wiem kto miał w danym wypadku lepszą minę: Ja, patrząc na z takim utęsknieniem oczekiwaną karykaturę lokomotywy, czy lokomotywa patrząc na długi sznur sześćdziesięciu naładowanych amunicją wagonów, które przez tragiczną pomyłkę kazano jej ciągnąć.

Poszedłem do maszynisty. Siedział w swej miniaturowej budce, zziębnięty i przemokły. Firmy budujące przed kilkudziesięciu laty parowozy, nie brały widać pod uwagę, że czasem pada śnieg, i że istnieją pewne różnice między klimatem polskim a włoskim.

— Poradzi pan, panie mechaniku?

— Co niemam poradzić. Jak nie na raz, to na dwa.

Ładna perspetkywa. Dzielić pociąg na dwie części i potem czekać by je w tym chaosie jednotorowych, przeciążonych pracą linji, zebrać do kupy.

— Niechże się pan postara na raz. Mam wino.

W odpowiedzi parowozik świsnął potężnie. Potem zaparł się, otrząsnął, prychnął zupełnie jak stary koń, któremu każą ciągnąć przeładowaną platformę. Potem wyrzucił ze siebie dwa długie strumienie pary, jęknął, grzmotnął w niski sklep chmur szaro - czarną kolumną dymu i... z przeraźliwym łoskotem obrócił kilkakrotnie swemi trzema parami kół w miejscu.

— Może popchnąć — zażartował któryś z moich żołnierzy.

Jakby dotknięty tą zniewagą, parowozik stęknął jeszcze silniej, znów dmuchnął parą i szarpnął tak straszliwie, że omal nie rozerwał pociągu na sześć części. Łączniki jednak cudem wytrzymały i rwąc dzwono po dzwonie ruszyliśmy wśród straszliwego szumu przeczyszczanych cylindrów.

Biło południe. Po kilkugodzinnej bieganinie od Annasza—dyżurnego ruchu, do Kaifasza—naczelnika stacji, miałem dosyć. Położyłem się spać.

Gdym się przebudził staliśmy przed jakimś pięknie oświetlonym peronem. Spojrzałem na zegarek, potem na napis dworca: Szczakowa. Piętnaście kilometrów jechaliśmy pięć godzin. — Rekord.

— Panie poruczniku, rozdzielają nam pociąg.

Mój wierny zastępca — sierżant Kruk — stał na stopniu owiany aureolą śniegu zmieszanego ze światłem wielkich lamp stacyjnych. Chłodne grudniowe powietrze wtargnęło do przedziału.

W mig zeskoczyłem z posłania i pobiegłem do kancelarji. W kręgu wielkiego fotoforu dwóch panów z gwiazdkami na kołnierzach skrobało coś przy biurku. Trzeci chrapał w kącie, tuż obok dopalającej się smrodliwie sygnałowej latarni.

— Cóż panowie robicie, na miłość boską? Rozdzielacie mi pociąg?

— A tak — odrzekło niechętnie a lakonicznie jedno indywiduum.

— Dlaczego?

— Bo Granica zawalona pociągami. Niema wjazdu. A my na torach stacyjnych nie mamy miejsca na taki długi skład.

— Panowie, — zacząłem tonem pokornej prośby, — jedziemy już 11 dni. Mam pociąg po dachy nabity materjałami wybuchowemi, odpowiedzialność okrutną i tylko sześciu ludzi eskorty. I tak pełnią służbę na dwie zmiany. Skąd chcecie żeby wziął wartowników do dwóch składów?

— A co nas to obchodzi.

— Panowie, — prawiłem dalej, niczem adwokat broniący przed surowym i niechętnym aeropagiem skazanego już dwukrotnie na śmierć przestępcę, — panowie, miejcież litość i zrozumienie. Przecież na amunicję tę czekają tam, na froncie. Przecież od niej może zależeć zwycięstwo lub klęska — życie tysięcy ludzi. Przecież łatwiej będzie wysunąć kilka próżnych wagonów na inny tor, a mój skład wstawić w całości.

Milczenie. Moja przemowa nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Zato pod peronem usłyszałem gwizdki manewrującego pociągu. Zebrała mnie złość.

— A więc tak, — rzekłem — dobrze.

I z miną Herostrata wyszedłem na peron.

⁂

Akcja rozegrała się w ciągu kilku minut. Najprzód zamiast stawiać przy rozdartym pociągu sześć posterunków (t.). tyle ile miałem ludzi) — ustawiłem tylko jeden przed kancelarją pana zawiadowcy. Potem kazałem Krukowi zaasować spinacza. Potem sam wmeldowałem się na manewrowy parowóz, oznaczony piękną niebieską latarnią. Potem bardzo, ale to bardzo grzeczniutko poprosiłem pana maszynistę, żeby zechciał mnie wysłuchać. Wysłuchał bez wstrętów, jako-że był chłop porządny.

Potem według wszelkich prawideł sztuki kolejowej wyciągnęłem z linji VII trzydzieści pięć próżnych węglarek i wstawiłem je na tor główny. Na opróżnioną linję wepchnęłem mój pociąg w pełnym składzie, złączywszy to, co pan naczelnik rozłączyć kazał. Poczem owe nieszczęsne trzydzieści pięć węglarek wegnałem sztosem „na Syberję", gdzie to właśnie uprzejmy naczelnik wyznaczył kwaterę mojej połówce.

Zaczem syt chwały i wrażeń powróciłem na stację i zastałem szeregowca Żółtka szamocącego się z zawiadowcą.

— To gwałt — krzyczał ten ostatni, — to zbrodnia. Ja o tem napiszę raport. Jeśli będzie katastrofa, to pan odpowie...

— Panie naczelniku, — odrzekłem tonem wytwornej kurtuazji, — przed chwilą nie był pan tak wielomówny. Pozwoli pan tedy, że obawę katastrofy cenić będą równie nisko, jak pan konieczność zwycięstwa.

— Pan będzie za to odpowiadał... Zaraz telegrafuję do ministra.

— Telegrafuj nawet do piekła. Tylko daj drogę do Granicy.

A że „auspicjent" wzdragał się, podszedłem sam do aparatów blokowych.

Po kwadransie ruszaliśmy. Na peronie żegnał nas nie całkiem gościnnie, pan naczelnik. W odpowiedzi zanuciłem mu dwie strofki słynnej francuskiej piosenki:

Il est cocu le chef de gare...

Nie wiem czy biedak był żonaty. Ale sądzę, że tak. Życzyłem mu tego z całego serca.

⁂

W odległej o dwa kilometry Granicy przyjęto nas z otwartemi rękoma: — To wszystko te ichnie austryjackie porządki, — opowiadał mi wąsaty królewiak. — Zwarjować można. Zatkanie tylko robią.

— Prędko pojedziemy?

— Ano, — poskrobał się w głowę, — jak przyjdzie parowóz.

— A tym co mamy, nie można?

— Nie można, bo tu dyrekcja „warsiaska". A on z „krakoskiej". Musi wracać. Ale niedługo przyjdzie nasza „hannowerka".

„Hannowerka" przyszła nazajutrz o świcie. Póki ją nakarmiono i napojono upłynęło dwie godziny. Odjechaliśmy około dziesiątej. A w południe stanęliśmy „na popas" w odległych o dziesięć kilometrów Strzemieszycach.

— Długo będziemy stali?

— Niewiadomo. Aż przyjdzie parowóz.

— No, a ta nasza hannowerka?

— To z dyrekcji „warsiaskiej". A tu radomska. Telefonowaliśmy po parowóz do Skarżyska. Tylko go patrzeć.

— Ależ człowieku, przecież do Skarżyska stąd ze dwieście kilometrów.

— 193 tylko, — odparł z dumą kolejarz. — A tam parowozów mają dosyć. Nagrzeją, to i na jutro rano tu będzie.

Splunąłem. Nie mogłem ani rusz zrozumieć dlaczego na dystansie 27 kilometrów zmieniano mi czterokrotnie parowóz i dlaczego granice dyrekcji były nieprzekraczalnem tabu. Zmuszało ono jedne parowozy do powracania luzem, a ściągało drugie również luzem z odległych o kilkaset kilometrów miejscowości. To wszystko w czasie wojny i w kraju, w którym na nadmiar parowozów nie mógł się nikt uskarżać.

⁂

Nazajutrz przebudziłem się w humorze Napoleona po Waterloo. Dopiero widok przybyłego ze Skarżyska pięknego „Decapodu" rozchmurzył mnie trochę.

„Decapod" dyszał ciężko, wsparty swemi pięcioma osiami w relsy odnogi wodnej. Za chwilę miano go podać do pociągu.

I wówczas otworzyły się nagle drzwi mego przedziału. Stanęło w nich słońce. Słońce we własnej osobie. Olśniony, oszołomiony, zalany złotym blaskiem przez chwilę nie mogłem zdać sobie sprawy, co skłoniło owo ciało astralne do złożenia mi wizyty. Wreszcie powoli odzyskałem wzrok i słuch.

Stopniowo zacząłem odróżniać złoty bączek na czapce, lśniący jak drugie małe słońce. Potem szeroką na trzy palce podpinkę, złote okucie daszka, złote belki i gwiazdy na kołnierzu. Niżej złote guzy, złote akselbanty, złote rapcie, złotą klamrę pasa, złotą gardę szabli. Dalej grube złote trzepaczki na ramionach, złote galony na rękawach, złote ostrogi. Jednem słowem meksykański bóg słońca we własnej osobie.

— Czy można panie poruczniku? — przemówił.

Mimowoli stanąłem na baczność. Bóg i to tak ozłocony musiał na ziemskim padole piastować nielada funkcję.

— Jestem komisarzem policji z X. Mam do pana porucznika prośbę.

O do licha. Popokatepetl — bóg słońca wcielił się w postać rodzimego policjanta. Dziwny kaprys. Ale nic — to. Zawsze bardzo szanowałem policję — a do rodzimej mam idealny sentyment.

— Niechaj chwila ta będzie błogosławioną, — rozpocząłem powitanie. Poczem obawiając się, że to może istotnie nie bóstwo, a prawdziwy komisarz, co mogłoby grozić podróżą do Tworek, — dodałem:

— Czem mogę służyć?

— Muszę jechać do Olkusza, a najbliższy pociąg idzie dopiero wieczorem. Może pan porucznik będzie taki dobry i zabierze mnie?

— Ależ my w Olkuszu nie stajemy.

— Nic nie szkodzi. Powiem maszyniście to zwolni trochę i zeskoczę.

— Jak pan uważa. Jeśli chce pan ryzykować, proszę bardzo.

— Dziękuję stokrotnie. Za chwileczkę przyjdę.

I przyszedł. Ale nie sam. W towarzystwie drugiego nadprzyrodzonego ciała. Tylko, że „ciało" to wyglądało jakby przed chwilą uciekło z nocy Walpurgji.

— Moja narzeczona, — przedstawił brząkając ostrogami.

— Bardzo mi miło, — zarżało „ciało" końskim głosem. A mnie ciarki przeszły po plecach. A nuż urzeknie?

— Siadaj Stefciu, — odezwał się Popokatepetl, — pan porucznik pozwala.

Wziąłem na odwagę. Co będzie, to będzie. W najgorszym wypadku wiedźma zamieni mnie w żabiego króla, albo w nietoperza. Ciekawe, pouczające, a w czasie wojny wcale niezła synekurka. No i może jaka królewna w perspektywie. Zresztą, qui ne risque...

— Przepraszam, powiedziałem tonem możliwie najsłodszym, — ale pan mówił mi tylko o sobie. A ta pani...

— Ależ to moja narzeczona... — rzekł tonem Xerxesa mówiącego: Oto moje okręty.

— Winszuję dobrego wyboru. Jednak podróż przedślubna moim pociągiem jest wykluczona.

— Dlaczego?

— Panie komisarzu, — zacząłem tracić cierpliwość, — jako osoba urzędowa winien pan wiedzieć, że transporty wojskowe nie służą do wożenia kobiet.

— Ależ ja za tę panią odpowiadam.

— Niestety. To mi nie wystarcza.

— Panie poruczniku, pan mnie obraża.

— Ani mi się śni. Chce panu tylko wytłomaczyć, że postępuje pan niewłaściwie.

— Tu wtrąciła się kontr - altem dama:

— Panie poruczniku, nie rób pan ważnego. Ja już z niejednemy jeździłam. Woziły mnie

(Dokończenie na str. 21-ej)

Akademja szpiegowska

Dla Anglika rzeczą najważniejszą jest sport i rekordy. Niebezpieczny zawód szpiega ma bezwątpienia do pewnego stopnia charakter sportowy. Szpieg musi być nietylko odważny, ale nie może wiedzieć nawet co to jest uczucie strachu. Musi odznaczać się zimną krwią, zupełnem opanowaniem nerwów, fantazją i dużą dozą logiki w swem postępowaniu. Prócz tego szpieg musi być pełnym hartu żołnierzem o żelaznych nerwach. Do szpiegów można zastosować — nieco zmienione — stare przysłowie rzymskie: Aby zostać szpiegiem, trzeba się nim urodzić!

Mimo tych wszystkich przyrodzonych zalet, szpieg musi się uczyć swego zawodu, aby nabrać wiadomości najróżnorodniejszych przejawów życia ludzkiego. Wiedzę tę zdobywają szpiedzy angielscy w szkole w Devonshire, gdzie prowadzone są specjalne kursy szpiegowskie. Nauka trwa 3 lata. Kursy prowadzone są przez Inteligence Service. Szkoła nie bardzo przebiera wśród swych kandydatów. Często, naprzykład, trafiają tam ludzie, którzy unikają nieprzyjemnego kontaktu ze sprawiedliwością.

Młodzi adepci sztuki szpiegowskiej zawierają 10-letni kontrakt z Service'm i wolni są od wszelkiej odpowiedzialności za stare grzechy.

Zdarzają się jednak wśród uczniów tej szkoły potomkowie starych arystokratycznych rodzin angielskich, którzy zeszli na błędną drogę i chcą choć w ten sposób ratować swój „honor".

Przeważnie zresztą droga, prowadząca do zawodu szpiegowskiego, jest romantyczna i niecodzienna.

Pewnego razu, naprzykład, do mieszkania płk. Lawrence'a, szefa organizacji szpiegowskiej w Anglji, werwał się siłą niejaki p. John Edwards i oświadczył, że musi dostać się do szkoły szpiegów w Devonshire. Zapytany o powody tej stanowczej decyzji, odrzekł, że jest to jedyny sposób ucieczki... od żony.

Edwards miał już za sobą bogatą przeszłość. Zrodzony w nędzy na przedmieściach Londynu, sobie tylko znanemi drogami doszedł do majątku i do... żony, która okazała się megerą, tyranizującą swego męża. Znany był policji, jako właściciel podejrzanej spelunki-knajpy dla murzynów i chińczyków.

Pułk. Lawrence, chciał początkowo wyrzucić intruza za drzwi, ale wzruszony widocznie błaganiem biednego, maltretowanego męża, rzucił na odczepne:

— Dobrze, przyjmę pana, ale musi się pan nauczyć... tureckiego języka. Tacy ludzie mogą się mi przydać jedynie w Turcji.

John Edwards przyjął na serjo to oświadczenie, i jakież było zdumienie pułk. Lawrence'a, gdy już po paru tygodniach przybył do niego kandydat na szpiega i prośbę swą powtórzył w języku tureckim. Poddany egzaminowi Edwards wykazał się ze świetnej znajomości tureckiego.

Po paru dniach pani Edwards otrzymała zawiadomienie, że mąż jej został zamordowany podczas bójki ulicznej i pochowany został na koszt gminy. Dodano nawet słowa kondolencji.

Żywy nieboszczyk zaś pod pseudonimem A. P. 80 wysłany został do Devonshire, gdzie w ciągu 2 lat doskonalił się w nauce języków wschodnich. Wiosną 1914 r. nowy szpieg wysłany został do Stambułu.

W czasie wielkiej wojny, w r. 1915, flota angielska blokowała Dardanele. W tym czasie artylerja niemiecka zatopiła w ciągu jednego dnia dwa krążowniki i jeden torpedowiec angielski pod Galipoli.

Trzeba było koniecznie wyszukać, gdzie ukryta została neprzyjacielska baterja.

Zadanie to poruczono A. P. 80. W ciemną burzliwą noc szpieg, przebrany za żebraka derwisza, wylądował z angielskiej łódki podwodnej na brzeg. Żebrząc, dostał się on aż do przednich straży tureckich. Obdarty, zawszony, często głodując w ciągu miesiąca krążył w rejonie fortyfikacji. Zdobył jednak potrzebne wiadomości i cudem uniknąwszy śmierci, wrócił na pokład angielskich statków.

Wrogowie bowiem następowali mu już na pięty, gdy A. P. 80 dobrnął do brzegu morza, gdzie oczekiwała nań łódka, oddziały nieprzyjacielskie znajdowały się za nim o paręset kroków. Padły strzały i szpieg, raniony w rękę, padł do zbawczej łódki.

Po przybyciu na statek rękę trzeba było odjąć.

W nagrodę mianowany został sierżantem. Większą jednak nagrodą była wiadomość, że małżonka jego opuściła ten padół płaczu, tak, że A. P. 80 mógł wrócić do swego nazwiska.

Jednym ze szpiegów, który przyniósł An-

(*Dokończenie na str. 17-ej*).

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

Kupcy źli i dobrzy

Kupcom niezłym poświęcam.

W piekle, w Centralnym Urzędzie Tortur Zasłużonych, zatrzymał się pewien angielski turysta przed wielką czarną tablicą, pokratkowaną w szachownicę i upstrzoną mnóstwem numerków.

— Co to jest? — zapytał oprowadzającego go dyżurnego djabła, wskazując na tablicę: — Dzwonki do personelu?

— Nie, Mylordzie — uśmiechnął się djabj. — To jest *tablica ewidencji.*

— Co to znaczy?

— Każdy nowoprzybywający grzesznik otrzymuje odpowiedni numerek i udaje się do przeznaczonej dla niego Kabiny Tortur.

— Ach! To jest bardzo interesujące... Więc każdy gatunek zbrodni ma tutaj osobną kabinę i odrębny sposób traktowania?

— Yes.

— Ach! Bardzo interesujące. Doskonała organizacja. To zrobił anglik?

— Nie, Mylordzie. Prusak!

Angielski turysta skrzywił się zlekka, jak gdyby połknął tęgi łyk czystego soku cytrynowego, ale natychmiast przybrał znowu beznamiętny, chłodny wyraz twarzy.

— A to co jest? — zapytał, wskazując na osobną tabliczkę, znacznie mniejszą od pierwszej, umieszczoną nieco na uboczu.

— To...? — cicerone zawahał się zlekka a potem odpowiedział szeptem: — To jest *tablica ewidencji grzeszników najsrożej torturowanych...*

— Aoh?

— Tak jest, Mylordzie! Mamy w piekle ekstra - klasę grzeszników, dla których obmyślamy szczególnie wyrafinowane tortury... Jeden z naszych djabłów (także niemiec) do spółki z eks-primaballeriną, babą wyjątkowo jadowitą, ułożył specjalny system katuszy... O, Mylordzie, beczki ze smołą, djable rogi, widły i tak dalej, to dobre dla drobnych oszustów i lubieżnych staruszków... Numery na małej tablicy odpowiadają Kabinom najzatwardzialszych zbrodniarzy... Strach pomyśleć, co tam z nimi wyrabiają... Ja sam, choć jestem djabłem, drżę ze strachu na samą myśl, co się tam dzieje!

— Aoh? I któż tam przebywa zasadniczo?

— Różni. Ale w ostatnich sezonach najwięcej tam było *kupców warszawskich.*

— Aoh! *Warszawskich? Warsaw-Russia?*

— No, *Warsaw-Poland!*

— Aoh? I co z nimi robicie?

— To zależy. Kupcy aroganccy, którzy przybierali wobec klijentów miny udzielnych książąt i rozmawiali z nimi, jak z łaski, muszą bezustannnie przechodzić pod ruchomą belką, która uderza ich gwałtownie w czoła i zmusza do wykonywania niziutkich ukłonów... Kupcy ordynarni, którzy pozwalali sobie wymyślać klijentom, albo brutalizować ich w inny sposób, muszą chodzić w kółko po szybko wirującej tarczy, robiąc z konieczności baletowe ruchy... Kupcy leniwi, którym nie chciało się nigdy sięgnąć na wyższą półkę i zadać sobie trud wyszukania żądanego towaru, muszą całemi godzinami, a nawet tygodniami, skakać, jak małpy, po olbrzymich drabinach, albo zwijać i rozwijać kolosalne sztuki materjałów... Kupcy nieuczciwi, którzy sprzedawali klijentom zleżałe towary, albo zgniłe owoce, albo nieświeże prowjanty, muszą dusić się w ciasnych, pozbawionych powietrza piwnicach, wdychając zapachy zgnilizny i rozkładu... Kupcy nierzetelni, którzy szachrowali mierząc, albo ważąc, muszą bez końca żonglować metrami i kilogramami... Kupcy brudni, którym nie mogły dać rady żadne komisje ani rewizje, muszą spełniać najwstrętniejsze posługi, brodząc po kolana w nieczystościach... Kupcy głupi...

Tu djabeł raptem urwał.

— Dlaczego pan nie kończy? — zapytał anglik.

— Nie kończę, bo mi coś przyszło nagle do głowy — odpowiedział djabeł.

— Aoh? Co mianowicie?

— Przyszło mi do głowy, że właściwie wszyscy ci kupcy, poddawani torturom, byli za czasów ich grzesznego ziemskiego żywota, przedewszystkiem... *głupimi!*

*

Popołudniu udał się nasz turysta na zwiedzanie Raju. Do Raju jechało się zębatą kolejką, stromo pod górę. Z początku wyziewy smoły i siarki, wydobywające się z Piekła, zatruwały Anglikowi podróż. Niebawem jednak, wjechawszy w strefy pośrednie (Czyściec) Anglik zaczął oddychać pełniejszą piersią. A im wyżej — tem było piękniej. Powietrze wspaniałe, balsamiczne, widoki czarujące, na wszystkich stacjach (nawet na najmniejszych przystankach) orkiestry i chóry anielskie. Pozatem coktaile, jakich tylko dusza zapragnie, owoce, słodycze (wszystko darmo!) — no, i kwiaty, kwiaty! kwiaty!

Wylądowawszy na stacji ze złocistym napisem „NIEBO", Anglik oniemiał z zachwytu. Wszystko, co widział, zatoka Neapolitańska, Sycylja, Madera, Azory, lodowce Szwajcarji, wodospady Niagary, dżungle Cejlonu i Jawy, wyspy Pacyfiku, najpiękniejsze miejscowości świata! — miały się tak do niebiańskich wspaniałości, jak Milanówek do Biarritz.

— Aoh! — zawołał z zachwytem. — Tu jest jeszcze ładniej, niż u nas, w Anglji, podczas wyścigów w Ascott!

Angielski *guide* (dawny przewodnik wysiadł, oczywiście, niedojeżdżając do stacji Czyściec) śliczny młody chłopak o niebieskich oczach i srebrzystych skrzydłach zapytał gościa uprzejmie:

— Może pan chce najpierw zwiedzić *Oazę Dobrych Kupców?*

— Naturalnie! Czy to blizko?

— Bliziutko. W Niebie jest wszędzie roz-



kosznie, ale *Kupcom* daliśmy umyślnie tereny w pobliżu stacji, żeby słyszeli ulubiony turkot i gwizd pociągów... Jeżeli pan ma dobry wzrok, to właśnie *Rajskie Osiedle Kupców* już widać... O, tam!

— Ależ to jakiś pałac z bajki?!

— Poniekąd...

— Aoh! Jedźmy tam!

*

No, i pojechali. A co Anglik zobaczył, tego żadne pióro, a więc i moje, nie opisze. Palmy i kaskady, marmury i kryształy, najcudniejsze kwiaty i najwspanialsze dzieła sztuki — wszystko to było w Osiedlu Kupców Dobrych. Mieszkali rzeczywiście, jak w raju... Przechadzali się po swoich ogrodach, promienni, spokojni, figlowali z aniołkami, a jak się zmęczyli figlami — to szli do zacisznych, wspaniale urządzonych gabinetów, i kalkulowali, uśmiechnięci, po czemu wypadłby kilogram gwiazdy, *loco Niebo*, albo gram rosy, *loco Raj*, jeżeli wziąć za podstawę kalkulacji ceny...

*

Przypomniawszy sobie rozmowę z djabłem w piekle, zapytał Anglik swego anielskiego *guide'a:*

— Czy tu jest też tak dużo osób z Warszawy?

Anioł chrząknął, zlekka zaambarasowany.

— Z Warszawy...? Chyba któryś z panów Kupców starszej daty... Z młodszej generacji niema prawie nikogo...



Fragment z „Radjoogrodu" Philipsa w Warszawie, ul. Mazowiecka 9, w którym przy dźwiękach głośników publiczność bawi się, odpoczywa i Tańczy. U dołu — jedna z sal wystawy Philipsa „Radjo i Światło" w Warszawie.



* * *

I moglibyśmy w tem miejscu postawić kropkę, lub, głowy posypawszy popiołem, przysiądz, że wojnę wytoczyliśmy Lidze Samowystarczalności i że niczego w Warszawie kupować nie będziemy.

Los wszakże zrządził inaczej...

Oto bowiem pewnego chmurnego poranku (*nice wheather?*) niebawem po powrocie nad Tamizę, kiedy Anglik nasz siedział przy stole i spożywał poranne *ham and egss*, ponure myśli przyszły mu do głowy:

— Jakto—na Boga — toć Niemiec rządzi się w piekle, jak szara gęś... Systemy jakieś zaprowadził przedziwne, kolonizację... Imperjalizm! A gdybyśmy to sami spróbowali w niebie? *Let us sce...*

W godzinę później był w Intelligence Service u sir Reginalda Soandso, O. K., W. C., J. B. C. P., etc etc

— Powracam, sir, z wędrówki po piekle i niebiosach. *Something to be done...* Niemcy zawarli z Lucyperem jakiś tajny kontrakt, kolonizują się. Zaludniają posiadłości swoje Polakami. Plan mój dotyczy kolonizacji Raju, odebrania Niemcom Polaczków...

— *Not so bad...* A co na to Lloyd George?

— Ten nigdy chyba do Raju nie trafi — nie dowie się...

— No dobrze. Ale powiedz no pan, czy ci Polacy, a zwłaszcza kupcy zasłużyli na Raj?

— Właśnie o to chodzi, żeby się przekonać. Dużo pieniędzy, kilku ludzi — a za parę dni zdam raport...

— *Not so bad!..* Jedź pan do Warszawy — rachunek w Banku *East and West*, dam ludzi również. Co będzie, to będzie. Byleby Niemcom zaszkodzić.

That's the point.. A reszta — *wait and see.*

* * *

Tego samego dnia wyjeżdżali z Charring Cross znajomy nasz wraz z asami angielskiego Intelligence: Johnem Lyer, Tomem Bothhands, Henrym Dirtynose i Williamem O'Prick.

* * *



Wszyscy sportowcy znają adres „Olimpjady", w której znajdują ogromny wybór przyrządów. Adres tej firmy, Warecka 5, podajemy dla tych, co jeszcze gnuśnieją, nie znając uroku i pożytku sportowych rozrywek.





Na jeden „drink", na jednego „blues'a" — trzeba zajść do Moulin Rouge'u (Al. Jerozolimskie 20). Grzecznie obsłużony spędzisz tam z pewnością niejedną godzinę.



* *
*

Pierwszy dzień pobytu w Warszawie (Warsaw — Poland). Jedna porcja kąpieli, jedna — *shave, files, typewriters,* — jak przystało na europejczyków — kontakty (nawet z Borutą, przyjacielem doktora wszechnauk piekielnych, Witolda Bunikiewicza) — aż nadszedł nareszcie błogi wieczór, kiedy każda dusza, zrodzona nawet w Intelligence Service, lubi radować się życiem...

— Well... — zagrzechotał pierwszy O'Prick.

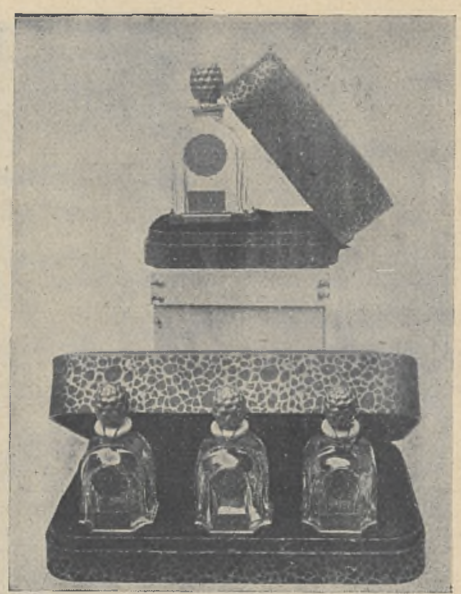
— Well... — spojrzeli po sobie.

I poszli, jak aniołowie, ręka pod rękę, weselić się niefrasobliwi, aż utknęli na warszawskiem A — B (Główna Poczta — Ziemiańska), pod Philipsem.

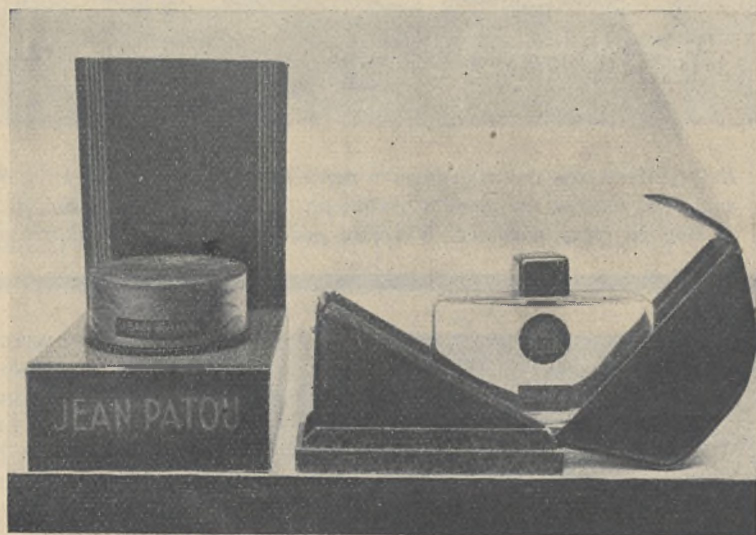
— *A garden?... Let us see...*

Weszla więc brać nasza — strasznie trzeźwa i łaknąca — Intelligence, co tu mówić — i zatańczyła, jak przystało na zamorskich gości — nobliwie i grzecznie.

— Polskie Zakłady Philips nie sprzedają swych







Firma J. Franaszek, S. A., (fabryka, Wolska 41), wyrabiająca luksusowe gatunki papieru i tapety należy do najstarszych w Warszawie (sklep detaliczny, Kr. Przedmieście 15). Zasługi jej w przemyśle polskim są tak wielkie, iż nie dadzą się ująć w tak krótkiej notatce.

Znane ze swej dobroci perfumy paryskie, Jean Patou sprzedawane są w Warszawie przez jednego z najlepszych i najmilszych kupców, Teodora Sakowskiego (Wierzbowa 6). Nic dziwnego, że perfumy te odrazu zawojowały nasz rynek.





Firma księgarsko - wydawnicza i zakłady graficzne M. Arct, Warszawa, Nowy Świat 39, jest ogólnie znana w cały kraju. Najmłodsze dziecko nawet nauczyło się szukać w tej firmie ulubionych swoich książek, ucząca się młodzież — książek szkolnych, najszersze sfery publiczności — cennych dzieł naukowych i ciekawej beletrystyki.

Niebezpiecznem jest podawać adres firmy Cwejko. Grozi to nam zemstą ze strony wszystkich mężów, gdyż miłe panie, które choć raz odwiedzą tę firmę, nie oprą się pokusie zakupienia masy najpiękniejszych fatałaszków. Narażając się wszelako na srogi gniew płci brzydkiej, a to tylko z powodu wyjątkowych warunków, które klijenci znajdują w tej firmie podamy jej adres — Bielańska 23.





Co słychać na świecie



Książę Walji jest bodaj jednym z najruchliwszych z książąt krwi. Wczoraj w Afryce, dziś na wystawie w Antwerpji (w pawilonie starej Belgji), jutro... Bóg go raczy wiedzieć. Wszędzie podejmowany jest z entuzjazmem.

Gościna francuskich ministrów komunikacji — p. Pernot i lotnictwa — p. Laureut -Eynac w Polsce była niewątpliwem podkreśleniem tych zażyłych i serdecznych stosunków, jakie łączą naszą Rzplitą z Republiką Francuską.

P. minister Laurent - Eynac, który przybył samolotem z Paryża do Polski, wszystkie swe podróże u nas odbywał samolotem, samolotem też udał się do Wilna, by złożyć tam wizytę p. marszałkowi Piłsudskiemu.

Z podróży swych po Polsce odniósł p. minister silne przeświadczenie — jak to zaznaczył w jednem ze swych przemówień, — że w ciągu 10 lat swej niepodległości Polska wykazała niezłomną wolę istnienia i rozwoju, i że rezultaty tego widoczne są nie w słowach, lecz w realnej twórczości. P. minister Eynac zdumiony był — jak to sam podkreślił — potęgą i rozmiarami odrodzenia Polski, zwłaszcza naszą organizacją i pracą, na jaką zwrócił uwagę w czasie zwiedzania wystawy poznańskiej.

P. minister Pernot, zwiedziwszy wystawę komunikacyjną, a zwłaszcza jej część, wykonaną w Polsce, oświadczył, że przynosi ona wielki zaszczyt przemysłowi polskiemu.

Ponadto gościli w Polsce pp. estoński minister komunikacji Jurman i czechosłowacki minister handlu p. Matousek.

*

Prasa francuska z oburzeniem komentuje wyrok sądu drugiej instancji w Naumburgu w Niemczech, którego mocą skazany został na 4 miesiące więzienia sportowiec francuski Cuvelier, przybyły w początkach lipca do Niemiec na zawody sportowe. P...wodach tych, w czasie powrotu ...mu, podczas bójki Niemiec Sch... raniony został nożem w twarz i...ranienie oskarżył Francuza. Sąd ...nburski zatwierdził wyrok I-ej ...ancji mimo, że prokurator wnos... ukaranie Cuveliera na 300 mk ...ywny.

W polityce W. Brytanji zwraca uwagę ...wa dominjów, mianowicie Kanady, której wyrazem prądów separatystycznych jest zwycięstwo w kampanji wyborczej obecnego jej premjera, p. Benneta broniącego zasady samodzielności gospodarczej tego dominjum. Ten zwrot w nastrojach Kanady ostudzi niewątpliwie temperamenty imperjalistów bytyjskich, którzy w jedności gospodarczej imperjum widzieli najlepszy środek przeciw ogólnemu kryzysowi gospodarczemu w Anglji.

Jednocześnie premjer południowo - afrykański, gen. Hervog oświadczył, że Unja południowo-afrykańska nie ma zamiaru zrzec się najdrobniejszej cząstki swej niepodległości.

Głosy te w przededniu konferencji londyńskiej, na której roztrząsana byłaby unja celna imperjum, są niezmiernie charakterystyczne.



Na Wschodzie b...nian. Tym razem Kurdowie zaatak...li Turków. Salih Pasza został ...lany na granicę z korpusem ...siłkowym.

*

Francja obchodziła ostatnio stulecie „trzech sławnych dni", w ciągu których rewolucia lipcowego zrzuciła z tronu króla Karola IX, oddając władzę w ręce króla Ludwika - Filipa.

*

B. premjer kowieński, zesłany pod Kretyngę, p. Waldemaras, oskarżony został ostatnio o niewyrachowanie się ze znacznych kwot rządowych.

*

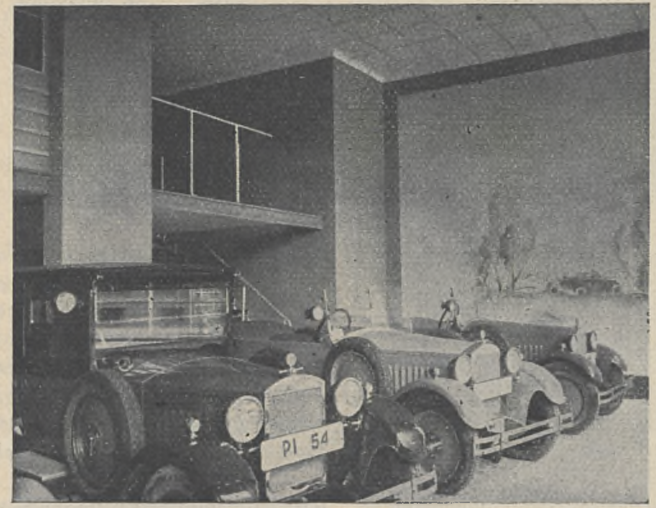
W zachodniej części m. Bałtyckiego rozpoczęły się ostatnio doroczne ćwiczenia niemieckiej marynarki wojennej w obecności ministra obrony narodowej, gen. Grenera.

*

Głośnemu „wampirowi z Düsseldorfu" Kurtenowi udowodniono, ż dopuścił się 48 morderstw i 45 podpaleń.



Ile zdziałała dzielna nasza Straż Obywatelska, kiedy po ustąpieniu Rosjan z Warszawy, stanęła na posterunku, ci tylko wiedzą, co byli wówczas w naszej stolicy. Parę dni temu uroczyście obchodzono 15-letnią rocznicę założenia straży.



Poułale zwana „zetką", samochód „Zbrojówka jest najmilszym wozem dostępnym dla każdego. Zajdźcie do salonu wystawowego przedstawicielstwa — firma A. Andrzejewski, Bagatela 13 — a przekonacie się o tem osobiście.

wyrobów w detalu (wprost do konsumentów), dają wszelako możność poznać każdemu ich doskonałe wyroby.

Tak ryczał megafon — a goście z za morza byliby może *quite happy*, cieszyliby się życiem, gdyby nie przeklęte pragnienie, które wywołuje taniec.

— *Have a drink* — szepnął pierwszy.

I w kwadrans później — nie oglądając się na interesującą wystawę „Olimpjady" (jakże szli wesoło kiedy „Olimpjada mieści się na Wareckiej?!) znaleźli się w Muolin Rouge.

— Panowie są cudzoziemcami? — spytał na progu dyrektor Kuczewski—„old boy". I to mówiąc, jak przystało na Polaka, posadził naszą piątkę w najlepszem miejscu, otoczył pieczołowitą opieką służby, kazał zagrać „It's a long way to Tipperary", zwołał najpiękniejsze dziewoje.

*
* *

Co się działo nazajutrz — nie ...wiem. Zdradzę tylko niedyskretnie, że jed... bogiń z Moulin Rouge przysięgała, ...kich perfum jak u Jean Patou (to wszys... przez Sakowskiego) niema — inna zaciąg... naszą piątkę na Bielańską do Cwejki. ...pięć swych towarzyszek conajmniej zak... fatałaszków, inna wreszcie kazała sob... zamówić tapety do „gniazdka" od Fran...

— Nie można im odmówić — p... girls — twierdzili wszyscy chórem — ...zcza, że wszyscy tacy uprzejmi, tacy grze...

Szli sobie Nowym Światem — ...że ta ulica z powodu wielkiej ilości bar... może się podobać Anglo-sasom.

— Widzę, waszmościowie — ...Boruta sentencjonalnie, zatrzymując s... przed wystawą księgarni Arcta — wid...eście upodobali sobie ten kraj. A może... tak zechcieli nauczyć się języka? O tu ...nacie ogromny wybór książek. Znałem ...akiego, co po roku...

— *No time* — stary czorcie — zaprotestowali — niema czasu. Pokaż nam lepiej, czy jest tu taki kupiec, co umiał przedostać się na rynki zagraniczne.

— Boże mój!... — tu Boruta wyrżnął sobie directa w zęby. — A cóż to, myślicie, że jesteśmy u Hotentotów lub innych Buszmenów? A firma Fraget, naprzykład? Trochę daleko, ale wsiądźmy do mojej Zbrojówki, patrzcie, co za elegancki wóz — i jedźmy na Elektoralną. Pokażę wam, co znaczy polski przemysł. Firma ta, muszę wam powiedzieć, zaopatruje w najwykwintniejsze sztućce i wyroby platerowane cały świat i pana mego Lucypera.

— Wierzymy ci na słowo, *old friend. Boruta* — kupmy raczej coś do zjedzenia... może tu...

To mówiąc, weszli do nowego sklepu firmy Szelechow. Nie zdradzę nikomu — obiecałem to solennie Borucie — że zakupili mnóstwo towarów.

I firma Meinl — co tu gadać — musiała im również zaimponować, gdyż doprawdy na takiej stopie nie postarano się jej postawić i na Pall-Mall, w Londynie.

— Ehe — więc znają się tu u was na wszystkiem, wiedzą gdzie, co i jak należy kupować...

— Nic to, moi panowie — odparł dumnie Boruta. — Zaszlibyśmy, naprzykład do Henryka Lauera, gdzie z równą grzecznością sprzedadzą wam drogi kapelusz Christies'a, jak tani rondelek krajowy...

— Dosyć, do djabła! — przerwał Borucie Bothhands. — Więc za cóż to tylu kupców warszawskich smaży się u was w piekle? Za co...

Tego samego dnia telegram:

Intelligence — Soandso — London.

„24 godziny — 12 firm z Warszawy do Raju".



Gdzie można kupić najmodniejszy kapelusz? Oczywiście, że w firmie Henryk Lauer, Marszałkowska 114.





Firma J. Fraget, założona w r .1824, zajmuje czołowe miejsce w przemyśle platerowniczym i posiada szeroki rozgłos zarówno w kraju, jak i za granicą, zaopatrujac Łotwę, Estonję, Rumunję, Peru, Argentynę, Wenezuelę, Węgry, Persję, Egipt, Palestynę, Chiny, Mandżurję, Chili, oraz wiele innych krajów w swoje artystyczne wyroby. Firma została dostawczynią wielu panujących dworów, gdyż doprawdy trudno sobie wyobrazić bardziej estetyczne wyroby.



Firma Szelechow, założona w r. 1896 przez Mikołaja Szelechowa cieszy się zasłużonem powodzeniem wśród najszerszych sfer publiczności stołecznej, przyzwyczajonej zaopatrywać się w doskonale urządzonych sklepach (Senatorska 6 i N. Świat 39) w znakomite towary spożywcze.



Znana na całym świecie firma Juljusz Meinl S. A., wyspecjalizowana w imporcie kawy i herbaty, założyła szereg sklepów w naszej stolicy — Marszałkowska 61 i 140, Nowy Świat 43, Hala Mirowska 2. Doskonałe towary, w które zaopatrzone są te sklepy, jak również wyjątkowa grzeczność, z jaką traktowani są klijenci postawiły firmę na czołowe miejsce w branży.



Krukowski.



Mec. Goldbaum.



Red. Czarnecki z „Robotnika".



Dr. med. Kempner.

„ZIEMIANSKA"

Napisał i zilustrował JOTES

(Feljeton i rysunki niniejsze wyjęte zostały z książki Jotesa p. t. „Okiem karykaturzysty", która niebawem ukaże się na półkach księgarskich).

Odwiedzający cukiernię „Ziemiańską" w Warszawie zauważyć mogą na jednej ze ścian obraz 2 metry kwadratowe liczący, pędzla Jotesa, przedstawiający „Ziemiańską o godzinie pierwszej", t. j. o tej porze, gdy znalezienie wolnego miejsca przy stoliku jest utopją, przejścia zaś między stolikami oblegane są przez pielgrzymki wiernych... zasadzie, że lepsze jest miejsce stojące niż żadne.

Goście, przychodzący do Ziemiańskiej o pierwszej, zjawiają się głównie po to, aby się pokazać innym, lub też, aby zobaczyć tych, co



Fragment z obrazu Jotesa p. t. „W Ziemiańskiej o pierwszej".

wystawiają się na pokaz. Nie mniej ważnym jednak celem jest wzajemna wymiana wszelkich informacyj, głównie personalnych. Stąd też przyjęła się i nazwa „mokrego stolika", t. j. tego, przy którym zasiada grono starszych pań, nie pozostawiających w toku ożywionej pogawędki suchej nitki na nikim.

Taki właśnie moment i tych właśnie gości starałem się na mym obrazie utrwalić i przekazać potomności ku nauce i przestrodze.

Zbieranie typów w Ziemiańskiej nie nastręczało zrazu żadnych trudności. Było ich tam jak w rogu obfitości. Gdzie tylko rzucić okiem — wszędzie pełno twarzyczek, wartych grzechu.

To też w pierwszych dniach praca szła mi niezwykle raźnie. Siadałem sobie przez nikogo nie zauważony, gdzieś nauboczu i tam zarzucałem sieci.

Ryby, nieraz grubsze, wpadały jedna po drugiej. Przy jednej małej i dość czarnej kawie uzbierało się do 10-ciu twarzyczek ludzi Bogu ducha winnych.

Miałem tu możność wyboru modela, co rzadko się zdarza w praktyce codziennej, pozatem zaś wolno mi było rysować bez wiedzy modela. Korzystałem więc z podwójnego przywileju: mogłem zachowywać pełną swobodę wobec modela, rysując kiedy chcę, model zaś, nie wiedząc, że go rysuję, również zachowywał się swobodnie, unikając pozy, był więc, krótko mówiąc sobą.

Idylla ta nie trwała jednak długo.

Po wykonaniu karykatur kilkunastu pierwszych z brzega stałych i permanentnych bywalców Ziemiańskiej, posiadających dobre maski, zacząłem napotykać na przeszkody.

Grupa, którą rysowałem, nie mogła być przypadkowem zbiorowiskiem ludzi, siedzących w cukierni. Wypicie czarnej kawy jeszcze nie daje dostatecznego tytułu do figurowania w historji, choćby to była historja „Ziemiańskiej".

Trzeba było zastosować jakąś metodę pracy.

Należało zacząć klasyfikować, grupować „serjami".

Zacząłem przebierać wśród mych modeli, rysując bądź typy znanych osobistości warszawskich, czy to ze świata artystycznego, czy palestry, lub medycyny, bądź też typy, zasłużone dla „Ziemiańskiej" z tego względu, że wysiadują tam w permanencji.

W miarę, jak bogaciła się moja kolekcja stałych bywalców tej placówki, napotykałem coraz więcej trudności technicznych. Trzeba było czekać nieraz czas dłuższy na ukazanie się w cukierni tej lub innej osoby, gdy zaś wreszcie przyszła, siadała jak na złość gdzieś na drugim końcu sali.

Do tych trudności natury „technicznej", przyłączyły się niebawem jeszcze trudności moralne, wynikające stąd, że o moich celach i zamiarach zaczęto sobie szeptać na ucho różne różności.

W ciągu bardzo krótkiego czasu cała „Ziemiańska", nie wyłączając panienek z bufetu, kelnerów i pikolaków — wiedziała jaka się szykuje zabawa.

Różne panie starsze, młodsze i w średnim wieku, a także panowie, zaczęli mnie zanudzać, bądź to zastrzeżeniami i pogróżkami, bądź zaklęciami i prośbami. Jedni za wszelką cenę chcieli być pominięci na grupie, inni za wszelką cenę chcieli



Art. filmowa Irma Adrian.



Architekt Przybylski



Poeta Słobodnik.



Poeta Wirski.

w karykaturze

(JERZY SZWEJCER)

na niej figurować. Najgorsze jednak było to, że upominali się o karykaturę ci, których robić nie miałem zamiaru, zaś protestowały osoby, które już dawno były narysowane.

Utrudniało mi pracę i to jeszcze, że osoby, powiadomione o moich intencjach, dostrzegłszy mój wzrok, zaczęły, jak to zwykle bywa, stroić różne miny, ukrywając naturalny wyraz twarzy.

Ostatecznie zebrałem prawie wszystkie potrzebne mi do obrazu osoby.

Zdawałoby się napozór, że w ten sposób miałem już wszystkie trudności i kłopoty poza sobą. Niestety. Jeden z największych kłopotów oczekiwał mnie dopiero. Musiałem wszystkich mych bywalców „Ziemiańskiej" odpowiednio porozmieszczać przy stolikach.

Kogo z kim posadzić? — zagadnienie to dręczyło mnie odtąd uporczywie.

Czy na ten przykład Lechoń może siedzieć z panią Pomeranc, pani Pomeranc z Jellentą, Jellenta z Witkiewiczem, Witkiewicz z panną Pupko, panna Pupko z Fiszerem, Fiszer z Lińskim? A gdzie posadzić mecenasa Perle, chyba wszędzie potroszku? W czyją stronę patrzeć ma malarz Lasocki, malując na stoliku swą umiłowaną i wyśnioną krowę?

Po ciężkich zmaganiach się duchowych i tę trudność pokonałem. Wkrótce też praca moja była ukończona i odbyło się uroczyste odsłonięcie obrazu.

Ciekaw byłem ogromnie, jak na pracę moją zareaguje społeczność „ziemiańska", jakie obraz wywoła wrażenie, jakie miny zrobią ci wszyscy, którzy swoje twarze rozpoznają.

Skądinąd jednak byłem pewien, że zabawa nie ograniczy się do robienia min, obawiałem się czegoś gorszego, bałem się „gniewu ludu".

Dlatego też mój instynkt samozachowawczy zmógł uczucie ciekawości i dla wszelkiej pewności w przeddzień wywieszenia obrazu czmychnąłem z Warszawy na cały tydzień.

Z jakiem przyjęciem spotkał się mój obraz, o tem wiem tylko na podstawie relacji naocznych świadków.

A więc na pierwszą wieść o „niebezpieczeństwie", jakie zawisło *nad*, a ściśle *w* „Ziemiańskiej", powstał popłoch. Wiedziano, że coś się złego stało, nie wiedziano jednak, co. Tłoczono się i popychano.

Widokiem obrazu specjalnie było poruszone starsze paniusie. Zaczęły on wyszukiwać swych twarzy, prowadząc między sobą tego rodzaju djalog:

— No—mówi pani X,—mnie przynajmniej ten bezbożnik oszczędził. Nie widzę tu siebie...

— Ależ, droga pani — rzecze pani Y — przecież to jest pani, jak żywa, nie można się omylić!...

— Co też pani mówi — oburza się pani X — niema tu przecież ani śladu podobieństwa! Przedewszystkiem ja nie mam takiego nosa, ani takich ust. Niema tu ani jednego mojego rysu!

Wtem, pani X, nie mogąca w żaden sposób rozpoznać siebie, lecz mocno poirytowana tem, że inni ją poznają, zmienia nagle wyraz twarzy; który staje się promieniejący, i tonem pełnym zachwytu i radości, woła:

— Ale cóż to ja widzę, przecież to czupiradło siedzące tu obok, to pani, droga pani Y!

— Co znowu, — woła oburzona pani Y. — Co się też pani przywidziało! Gdzie pani tu ma choć szczyptę podobieństwa do mnie?

— Jest, droga pani Y, jest ogromne. Jak kropla w kroplę. Rzuca to się przecież w oczy...

— Ja bo siebie wcale a wcale nie poznaję. Czyż ja mam takie wargi, taki podbródek!

Typowe te djalogi, które danem mi jest słyszeć do znudzenia dziesiątki, setki, tysięce razy, tutaj, poza memi plecami, w tak licz-

(Dalszy ciąg na str. 16-tej).



Jaracz.



Dziennikarz Rajchman.



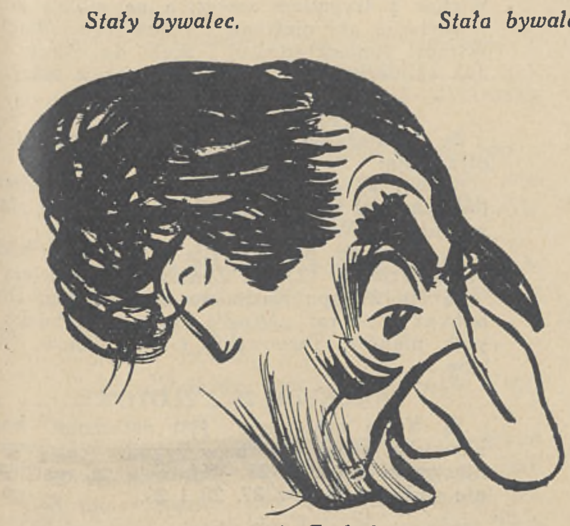
Edward Boye.



Stały bywalec.



Stała bywalczyni.



Art. mal. Gotlieb.



Art. dekorator Galewski.

Ziemiańska w karykaturze

(Dokończenie ze str 15-tej).

nem i doborowem gronie, miały specyficzny pieprzyk.

Gdym wrócił po tygodniu do Warszawy uprzedzono mnie, żebym nie pokazywał się w „Ziemiańskiej" bez eskorty, albowiem paniusie przygotowują przeciwko mnie krucjatę.

Po spisaniu testamentu udałem się na Mazowiecką. Ukazanie się moje w cukierni nie wywołało jednak zamieszania. Stwierdziłem przytem z zadowoleniem, iż panie bynajmniej nie były tak wojowniczo wobec mnie usposobione. Owszem, było kilka takich, które nie chciały nawet na mnie spojrzeć, co ostatecznie można jeszcze przeboleć, skądinąd jednak było też sporo osób i osóbek, które próbowały mnie oczarować uśmiechem.

Uśmiech ten był wyrazem wdzięczności za pominięcie danej osoby na grupie, a zarazem za odmalowanie jej serdecznej przyjaciółki.

Po tygodniu czy dwóch gruchnęła sensacja.

Dowiedziałem się (z gazet), że grupa pań skarykaturowanych zaskarżyła mnie do sądu, z tego jakoby powodu, że zamieściłem je bez ich przyzwolenia.

Wiadomość ta lotem strzały rozeszła się po mieście. Kto to taki? Kto są te panie? — zapytywano mnie ze wszystkich stron.

Niestety, sam nic w tej sprawie nie wiedziałem, byłem jednak nie mniej od innych zaintrygowany.

Składano mi ze wszystkich stron gratulacje, uważano bowiem, że sprawa ta, którą bezspornie wygrać muszę, przyniesie mi b. wielki rozgłos. Aż czterech adwokatów zaofiarowało mi bezinteresownie swe usługi. Ze strony dwóch pism zwrócono się do mnie o wywiady.

Zacząłem już czynić przygotowania do rozprawy sądowej, zaglądałem do kodeksów, układałem przemówienie obronne. Gdy oto pewego popołudnia spotykam znajomego mi dziennikarza, który powitał mnie wesoło, słowami:

— No, jak wam się podobał mój kawał?

— Przepraszam, jaki kawał?

— A no, z tym waszym procesem! To ja przecież puściłem przez jedną z agencyj prasowych wiadomość o zaskarżeniu was do sądu przez grono pań... To jest wyssane z palca, a dla bab kompromitacja, prasa ma sensację, a ja 15 groszy od wiersza. Trzeba żyć. Co słychać pozatem, kolego?

Nie wiedziałem, czy mam się irytować, czy zachować flegmę. W każdym razie czułem się głupio.

Żal mi trochę było dobrej okazji do „poruszenia umysłów" zagadn.eniami zasadniczemi, związanemi z zawodem karykaturzysty, z drugiej zaś strony rad byłem, że pozbyłem się jeszcze jednego zawracania głowy.

Nie powiedziałbym wszystkiego o mej „panoramie", gdybym choć w kilku słowach nie wspomniał o honorarjum, jakie za nią otrzymałem. Nie mam tu jednak na myśli wysokości, lecz formę honorarjum.

Obraz zamówiony został przez p. Albrechta, on też był jego nabywcą. Część należnej mi sumy, stosownie do umowy, miała być spłaconą w towarze, to znaczy... w łakociach.

Ujemną stroną układu było to, że dawała ona temat do różnych fantastycznych legend o rzekomych orgjach cukrowych, jakie miałem uprawiać. Rozpowiadano sobie, że mam zapewniony u Albrechta wikt po trzecie pokolenie, że codziennie na specjalnej platformie dowożą mi torty o najwyszukańszych smakch i zapachach, że urządzam w domu łaźnie kremowe, zakrapiane ponczem, a gabinet swój kazałem obić marcepanem, rodzynkami i migdałami.

Opowiadano to sobie, a zarazem oczekiwano, że wielka też będzie moja szczodrobliwość, że co drugi bliźni mój otrzyma w darze tort ananasowy.

Rzeczywistość jednak była daleką od tych pięknych i słodkich wizyj, nadzieje też bliźnich moich, srodze zawodziły.

Takie są dzieje i okoliczności, towarzyszące powstaniu pierwszej „panoramy" Ziemiańskiej.

Zmieniają się jednak czasy, zmieniają ludzie, zmienia się i klijentela „Ziemiańskiej". Z tej też racji, zebrawszy i pochowawszy w odpowiednim futerale laury, zdobyte na mej grupie, wziąłem od Albrechta zaliczkę i przystąpiłem do wykonania drugiej grupy, obejmującej „rocznik" 1930.

Grupa ta jest już na ukończeniu.

Rozrywki umysłowe

ZADANIE Z N-RU 28.

ARYTMOGRYF.

				Z				
			M	I	R			
		S	C	E	N	A		
	S	K	U	L	S	K	I	
W	I	E	L	I	C	Z	K	A
	G	Ł	I	Ń	S	K	I	
		K	A	S	T	A		
			O	K	O			
				I				

KWADRAT MAGICZNY.

S	T	R	O	P
T	R	A	W	A
R	A	B	A	T
O	W	A	L	E
P	A	T	E	K

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 29.

					a					
				K	r	a				
			S	t	y	k	a			
		K	l	a	s	k	a	ć		
	P	a	l	a	t	y	n	a	t	
P	s	v	c	h	o	l	o	g	j	a
	K	a	t	a	t	o	n	j	a	
		P	r	z	e	b	ó	j		
			P	a	l	m	a			
				c	e	p				
					s					

ARYSTOTELES.

Zadanie konikowe:

Wyjątek z Mickiewicza, Sonety Krymskie, Burza.

Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei
Wicher z tryumfem zawył, a na mokre góry
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił genjusz śmierci i szedł do okrętu
Jak żołnierz, szturmujący w połamane mury.

NAGRODY KSIĄŻKOWE.

Za rozwiązanie zadań z N-rów 27,28 i 29 otrzymują:

za Nr. 27 pp.: Elżbieta Starzeńska, Równe (Wołyńskie) Hotel San Remo; Edmund Jarmulski, St. Modlin;

za NrN. 28 pp.: Cecylja Krajewska, Łódź, ul. Brzezińska 123; D. Zantowicz, Nieśwież;

za Nr. 29 pp.: Kazimierz Denasiewicz, Drohobycz 2 — raf. „Dros"; Zygmunt Łabęcki, 3 pułk ułanów, Tarnowskie Góry, Wojew. Śląskie.

NAGRODY 25 - ZŁOTOWE.

W N-rze następnym (33) ogłoszone będą nazwiska osób, które w wyniku losowania otrzymują nagrody 25 - złotowe za rozwiązanie zadań z N-rów 27, 28 i 29.

Akademja szpiegowska

(Dalszy ciąg ze str. 8-ej).

glji nieobliczalne korzyści w czasie wojny, był niejaki S. M. 27.

W chwili wybuchu wojny był on, jako 18-letni młodzieniec, studentem w Heidelbergu, i jednym z licznych szpiegów angielskich w Niemczech. Na rozkaz z Londynu, młodzieniec, pracujący w tym zawodzie nie dla pieniędzy, lecz z patrjotyzmu — wstępuje w szeregi armji niemieckiej i w krótkim czasie mianowany zostaje porucznikiem. Korzystając ze znajomości sześciu języków europejskich, dostaje się do sztabu arcyksięcia bawarskiego, prowadzącego akcję wojenną pod Lille.

Ciekawem jest, że w ciągu całej wojny, prowadził potajemną korespondencję z angielskim wywiadem, nie budząc żadnych podejrzeń u Niemców.

I. M. 27 pracował zupełnie samodzielnie, bez instrukcji z zewnątrz, wybierał sobie zadania z własnej inicjatywy, i dodać należy, rozporządzał nieograniczonemi kapitałami.

Nawet w 1918 roku, gdy Niemcy zdobyli spis wszystkich szpiegów angielskich— nie figurowało w żadnym spisie, że I. M. 27 jest szpiegiem!

W r. 1916 zdobył naszywki kapitana, a na wiosnę 1918 r. — pułkownika.

Ze wszystkich swych imprez wychodził niezmiernie szczęśliwą ręką!

Jakby dla ironji, po zawieszeniu broni, wchodzi w skład delegacji niemieckiej, wysłanej do Spa na rokowania pokojowe z Anglją.

Tam jednak zrzuca swą maskę i dotychczasowi towarzysze jego dowiadują się, że I. M. 27 jest szpiegiem!

Zapóźno jednak.

I. M. 27 zrzuca mundur niemiecki i wyjeżdża do Anglji.

Dalsze jego losy są nieznane. Podobno ożenił się i przebywa obecnie wraz z rodziną na wyspach Azorskich. W Anglji widocznie nie czuł się jednak zupełnie bezpiecznym.

W kraju wszelakiej wolności

(Dalszy ciąg ze str. 4-ej).

nych za parjasów, którym odmawia się wiele swobód, którym buduje się oddzielne ghetta, miejsca rozrywkowe, szkoły i uniwersytety. Są nimi murzyni, potomkowie dawnych niewolników, którzy noszą na sobie jeszcze dawne piętno ludzi najniższego stanu.

Prawdziwą rewolucją było przyjęcie przez panią Hoover, w Białym Domu, przedstawicieli tej znienawidzonej rasy. Mało tego, wśród pań z towarzystwa był przeprowadzony mały protestacyjny bojkot osoby żony prezydenta.

Możnaby napisać całe tomy na temat paradoksalnych przepisów, ograniczających wolność obywateli najwolniejszego kraju na świecie. Na razie jednak wskazanemby było wydanie odpowiednich wskazówek i ostrzeżeń dla podróżnych, chcących łyknąć haust wolnego powietrza w U. S. A.

(g).

Z teatrzyków warszawskich



Nowa Spółka autorska: Zygmunt Wiehler i Walery Jastrzębiec, których utwory cieszyły się wielkiem powodzeniem w teatrze rewji w „Ananas”.



GEORGE M. SAVILLE.

Pocałunek



Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Irena Guarry, żona przemysłowca lyońskiego, zostaje odwiedzona przez młodego La Salla. La Salle, żegnając się, zaczyna ją całować. Na to wchodzi mąż Ireny i rzuca się na młodzieńca. Irena chwyta bezwiednie za rewolwer i zabija męża. Podczas śledztwa Irena oświadcza, że mąż popełnił samobójstwo.

W dniu procesu, w pokoju redakcyjnym „Lyons Heraldu", wydawca patrzał na fotografję Ireny Guarry. Była to ta sama podobizna, którą Piotr wybrał w ów pamiętny wieczór. Rysownik pisma, temperując ołówek przed pójściem na proces, zatrzymał się chwilę przy biurku wydawcy.

Z szerokim uśmiechem spytał wydawca:

— Jak się panu podoba ta pani?

— O, ta pani będzie wkrótce o głowę krótsza, niż obecnie — odparł niedbale artysta. Znaczącym ruchem pokazał na swoją szyję, ilustrując tym gestem domniemany koniec Ireny. Znajdujący się w pokoju inni mężczyźni roześmieli się aprobująco.

— Bardzo jest piękna — mówił w zamyśleniu wydawca.

— To jej nic nie pomoże — odparł artysta.

— Ma ona jednego z najlepszych adwokatów w kraju — ciągnął dalej wydawca.

— Niemniej będzie skazana — płacę dziesięć za jednego, że będzie skazana.

— Trzymam zakład — rzekł wydawca, kręcąc franka w palcach.

Artysta ze śmiechem wyjął z kieszeni 10 franków i położył obok pojedyńczego franka na biurku.

Obecni chętnie byliby należeli do tej gry; wydawca oświadczył, że trzyma, ile kto chce i założył się z każdym w tym że stosunku: dziesięć do jednego.

— Chłopcy! — zawołał — jeżeli ją uniewinnią, poślę jej róże, kupione za pieniądze, które mi wypłacicie!

W gmachu sądowym wszystkie oczy były zwrócone na drzwi, któremi miała wejść Irena Guarry. Dubail, w oficjalnym stroju francuskich adwokatów, opuścił swe miejsce i podszedł do tych drzwi. Irena, od stóp do głów spowita w żałobę, weszła jak lunatyczka, przy niej szło dwóch żandarmów; sztywnym krokiem udała się na swoje miejsce.

— Bądź odważna, ukochana — szepnął Dubail. Irena nie odpowiedziała. Oczy jej błądziły po całej sali, nic nie widząc, ani Piotra, ani jego ojca, ani nikogo ze znajomych, którzy przyszli przysłuchiwać się jej sprawie.

Obecni przyglądali się oskarżonej z wielkiem zaciekawieniem. Kobiety zwłaszcza były pochłonięte studjowaniem jej powierzchowności. Piotr siedział blady i ledwo mógł zapanować nad ogarniającem go wzruszeniem. Konwulsyjnie ściskał rękę swego ojca, który kilkakrotnie pochylił się ku niemu, szepcząc mu do ucha pocieszające wyrazy.

Przewodniczący sędzia wstał i zadał Irenie pierwsze pytanie. Odpowiedziała spokojnie. Ten jej spokój zdawał się gniewać publiczność. Przyszli oglądać jej histerje, wzruszenia, cierpienia pięknej kobiety w obliczu prawa. Rozczarowywali się. Proces nie był sensacyjny. Posuwał się powoli naprzód i każde pytanie zdawało się przybliżać fatalny wyrok, a zdanie „niech Bóg łaskaw będzie twej duszy", oznaczać będzie gilotynę.

Większość pytań była drobiazgowa i zbędna. Proces ciągnął się dwa dni. Irena sama była znudzona, tak, że gardziła poniekąd niebezpieczeństwem, w jakie, czuła, że ją spycha prokurator, publiczność pełna niechęci ku niej i sędziowie.

Po długiej mowie pierwszego sędziego o szczegółach życia małżeńskiego Ireny (był to jeden z *trzech* sędziów, którzy we Francji stanowią sąd w sprawach kryminalnych), w czasie której przytaczał same ujemne dla niej fakty, zadał jej tenże sędzia pytanie: „Czy to prawda, że ostatni rachunek od krawcowej pani wynosił 243.000 franków?"

— Możliwe — rzekła Irena.

Wśród publiczności zaszumiało od cynicznych komentarzy. Gniewała ich ta arogancka odpowiedź Ireny, na wyraźną naganę sędziego.

Ten przyjrzał się jej ponuro i drwiąco wyrzekł:

— Podobno pani niestosowne zachowanie się nieraz już gorszyło otoczenie pani.

Na to niesłuszne ,obrażające zdanie Irena odpowiedziała upartem milczeniem.

Przez cztery godziny sędzia atakował ją w ten sposób, szeregiem agresywnych pytań. Kilka razy Dubail wstawał, by protestować. Przewodniczący odebrał mu głos natychmiast. Nareszcie, w zręcznem przemówieniu, sędzia zainsynuował, że pani Guarry miała szereg przygód miłosnych.

Irena, która do tej pory zachowała zdumiewająco zimną krew, nie zapanowała tym razem nad sobą. Drżąc z oburzenia, a mimo to głosem pełnym godności, zawołała: „Nie mam powodów do wyrzutów sumienia, a opinja publiczna jest mi obojętna".

Rozejrzała się po sali sądowej z wyzwaniem w oczach. Wśród publiczności powstał ruch. Zaczęto robić głośno niemiłe uwagi. Przewodniczący dzwonkiem przywrócił spokój.

Drugi sędzia skoczył na równe nogi i wymachując dramatycznie ramieniem, wykrzyknął: „Stawiam wniosek, aby ostatnia odpowiedź pani Guarry została wniesiona do aktów sprawy!"

Aprobujący śmiech rozległ się na galerji.

Dubail momentalnie się pod-



Bądź odważna, ukochana — szepnął Dubail... *(fot. Metro)*

niósł. Ostro zareplikował na wniosek sędziego. Wyraził bez ogródek swoje oburzenie. Przez całe 5 minut wzywał sąd do bezstronności. Jego klijentka była przemęczona niepotrzebnem okrucieństwem, którego była przedmiotem, było to wysoce nieszlachetne protokułować odpowiedź, daną w takich warunkach psychicznych.

Irena, zmęczona długiem staniem, wyczerpana denerwującą procedurą, zachwiała się lekko. Obraz sali sądowej zaćmił się przez jej oczami. Nagle — chwiejne jej spojrzenie spotkało wlepione w nią z przerażeniem oczy Piotra.

Dubail, przemawiając z całą energją, wskazał na nią palcem, jako na ofiarę niesłusznego prześladowania. Zwracając się ku niej, spostrzegł, że chwieje się na nogach, blizka omdlenia. Szepnął jej kilka słów otuchy i zwrócił się do przewodniczącego:

— Chwileczkę, panie prezesie, mojej klijentce jest słabo. Zechce pan zarządzić krótką przerwę — poprosił.

— Zgadzam się.

Irena, podtrzymywana przez Dubail'a, przeszła z sali sądowej do przedpokoju, a za nią dwaj żandarmi. Tu padła na ławkę; Dubail i agentka policyjna pochylili się nad nią z solami cucącemi i podali jej szklankę wody.

W redakcji żartowano z wydawcy, zapewniając go, że przegra zakład na całej linji. On sam zaczynał odczuwać, że głupio się założył.

— Ona źle prowadzi swą sprawę — mówił z żalem.

Na prośbę Dubail'a sędziowie rozpoczęli przesłuchiwanie świadków, aby Irena przez ten czas odpoczęła. Pierwszy zeznawał lokaj Guarry'ego. Jego zeznanie było korzystne dla Ireny. Opowiadał, jak nieraz Irena łagodziła gniew Guarry'ego przeciw niemu za drobne przewinienia. Opowiedział historję z kluczem. Sędzia odprawił go i wezwał następnego świadka. Był to Durant, detektyw, który śledził był Irenę z polecenia Guarry'ego.

Sędzia prosił go o zeznanie wszystkiego, co wiedział. Durant mówił niepewnie. Zerknął szybko na Irenę, a potem zaczął zeznawać, zatrzymując się, wahając i jąkając bezustannie. Opisał jednak, jak to on ją śledził, jak poszedł za nią na wystawę psów i na wystawę gramofonów.

— Czy znane panu jest nazwisko młodego człowieka, którego pani Guarry tam spotkała? — spytał sędzia.

— Owszem. Jest to pan Piotr La Salle.

Piotr drgnął, w oczach jego odmalowało się straszne przerażenie. Starszy La Salle poklepał go po ręce uspakajająco. Irena też była poruszona. Co teraz będzie? Co ten przeklęty szczur wie jeszcze? i co powie? Detektyw nie czuł się w swoim żywiole w roli świadka. Czuł, że jego zeznanie było bezprzedmiotowe. Nareszcie przestał mówić. Sędzia podniósł rękę w stronę Dubail'a na znak, że teraz adwokat może zadawać świadkowi pytania.

Dubail zerwał się. Kierując na świadka swój palec wskazujący, jakby oskarżając go z kolei, zapytał ostro: „A teraz powiedz pan najważniejsze, co robił ten młody człowiek?

Detektyw zmieszany, zachłysnął się, zająknął i rzekł w końcu cienkim głosem: „Ano, nosił paczki i prowadził psy na spacer".

Na galerji rozległ się głośny wybuch śmiechu.

Dubail wyciągnął ramię przed siebie i rzekł: „Widzicie, panowie!" Poczem wrócił na swoje miejsce, wyraźnie znużony drobiazgowością procedury, niegodnej jego uwagi. Przewodniczący gryzł koniec ołówka i rozumiejąc, jakiem fiaskiem był ostatni świadek, usiłował zatrzeć to wrażenie, mówiąc z kwaśnym sarkazmem:

— Bądź co bądź, to zeznanie świadczy, że pan Guarry nie miał powodów do samobójstwa.

Na to tylko czekał Dubail; nareszcie przyszła odpowiednia chwila. Stanął wyprostowany i odrzekł gwałtownie:

— A jednak powód do odebrania sobie życia przez nieboszczyka istnieje — jest mi znany — gotów jestem złożyć absolutne dowody!

Nareszcie publiczność miała upragniony melodramat. Siedzieli w skupieniu, nadstawiając ucha.

Irena spojrzała na Dubail'a. Była zdziwiona.

Sędzia uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Prosimy pana, panie Dubail, niech nam pan teraz coś powie. Radzibyśmy widzieć pańskiego świadka.

Drugi sędzia spytał powątpiewająco: „Pan ma naprawdę świadka, który może zaświadczyć?....

Irena patrzała na Dubail'a, czuła szalone pulsowanie w całem ciele. Dubail odpowiedział sędziemu w tonie poufnym:

— Tak, mam świadka. Jest nim pan La Salle, intymny przyjaciel i wspólnik interesów nieboszczyka. Znajduje się on tu, na sali.

La Salle z uśmiechem wstał. Piotr patrzał na ojca osłupiały ze zdumienia.

Sędzia dał znak kupcowi jedwabiu, by rozpoczął zeznanie.

La Salle zwolna zaczął:

— W ostatnim dniu swego życia był pan Guarry tak dobrze, jak bankrutem.

Irena podniosła oczy ze zdziwieniem.

— Przyszedł do mnie i błagał o pomoc, aby móc utrzymać swój stos towaru przy możliwej cenie. Na giełdzie towarowej panowała panika tego dnia i ja sam byłem tak ścieśniony, że nie mogłem mu pomóc.

Dubail słuchał zeznania La Salle'a z widoczną dumą; w tem miejscu porwał się z miejsca.

— Jakiego rodzaju wrażenie odniósł pan tego dnia co do osoby pana Guarry? — zapytał.

— Był bardzo zdeprymowany, gdy odchodził. Fakt, że byłem o niego niespokojny. Pani Guarry potwierdzi te słowa, gdyż wie ona, że telefonowałem tegoż wieczora do nich; było to po uprzedzeniu jej przez lokaja o nieszczęściu, jakie zaszło, to też ona się odezwała, stąd zapewne owe ślady palców, o które policja narobiła tyle hałasu.

(D. c. n.)

MIECZYSŁAW SZCZĘSNY.

EUROPEJCZYK

Zaczęło się od rzeczy pozornie drobnej: Wiktor wygrał na loterji klasowej parę tysięcy złotych.

Wygrał... i oszalał. Postanowił w te pędy wyjechać zagranicę.

Napróżno perswadował mu najwierniejszy przyjaciel, Zenon, aby podobnie, jak co roku, odbyć wspólnie wycieczkę po kraju, wypocząć, i wygrzać się na słońcu.

— Nie, mój drogi. Chcę choć raz sobie użyć, i odetchnąć powietrzem europejskiem. Każdy człowiek kulturalny winien stanowczo jeździć zagranicę. To jest zasada niebywałego znaczenia. A zasada, jak wiesz, to święta rzecz. Wciąż te nasze Zakopane, Krynice, Worochty, Druskienniki, aż w głowie huczy i żałuję, że nie możesz jechać ze mną razem. Pomyśl, Europa, Europa!...

— Jaka tam Europa? Żeby choć naprawdę, a tu, o staję, o miedzę, mały spacerek od naszej Gdyni, od naszego Orłowa, dwa kroki... Stanowczo we łbie ci się przewróciło. A ja jednak pojadę według pierwotnego planu, do Druskiennik.

— Mieszczuch — pomyślał Wiktor i, z niedającą się ukryć pobłażliwością, pokiwał głową.

— Snob — uśmiechnął się Zenon i serdecznie pożegnał przyjaciela.

Rozjechali się w dwie przeciwne strony.

*

Wolnym krokiem szedł Zenon z dwu dniowej wycieczki szeroką drogą, przecinającą, jakby białą wstęgą przepyszne stare lasy druskiennickie.

— O, dobrze, że pan wrócił — serdecznie przywitała go na małej werandeczce gospodyni. — Dla pana jest list, expres. Od wczoraj już czeka.

Zenon szybko wbiegł do swego pokoiku i chwycił kopertę. Od Wika. Nareszcie. Po dziesięciu dniach.

„Śmiej się, mój Zenonku, śmiej się—pisał Wiktor „europejczyk" — Śmiej się ze mnie, z Twojego przyjaciela, z bałwana wysokiej klasy i rasy. Moje zasady wzięły w łeb, tak, jak ten fryzjer wziął. Dziwisz się, skąd fryzjer? Poczekaj, opowiem po kolei. Wyjechałem, jak wiesz, po pańsku, wagonem sypialnym, jak wreszcie stało na „obmierzłego buržuje".

Przyjechaliśmy. „Wystrzelono" mnie na stacyjkę, jak w Otwocku, wpakowano siłą do taksówki i zawieziono do hotelu. Portjer, po wnikliwem zbadaniu mojej powierzchowności, zaaplikował mi pokój na drugiem piętrze, za cenę... Mniejsza, to nie było ważne .„Europa jest kosztowna", pomyślałem .„Tak być musi" .Rozpakowałem walizy, umyłem się, przebrałem i poszedłem na dół do fryzjera. Przechodząc koło tablicy z nazwiskami gości ,zauważyłem swoje, z milutko przekręconą końcówką „ański". „Tak widocznie być musi", pomyślałem znów.

„Bitte rasieren". I fryzjer, w białym fartuchu, pełen służalczej uniżoności zabrał się do mojej twarzy. Dopóki mydlił mi twarz pendzlem — a czynność ta ciągnęła się w nieskończoność, — dopóki recytował cały szereg przysłów, z których zapamiętałem tylko jedno: „*gut geschmiert ist halb rasiert*", dopóty miałem na niepomalowanej części twarzy miły uśmiech zrozumienia i byłem całkowicie spokojny o stan swego zdrowia. Ale, gdy czynność pendzla objęły grube, opęczniałe palce fryzjera ,gdy fryzjer zaczął mi nacierać twarz całą łapą uśmiech w oczach wygasł mi. Ale pomyślałem, że tak widocznie być musi.



Wtem, och, tu jest początek mojej tragedji, piwskiem nalana, okrągła jak księżyc twarz fryzjera przyoblekła się w wyraz rozpaczliwego przerażenia .Oderwałem gwałtownie głowę od oparcia i wlepiłem w niego spojrzenie zatrwożonego pytania. Fryzjer zaczął mi perswadować coś długo i prędko, z czego zrozumiałem tylko, że mam na twarzy chorą skórę, która wymaga systematycznego masażu. „Psiakrew", zakląłem w duchu siarczyście po polsku, „co znaczy cywilizacja". Dotychczas byłem całkowicie pewny, że mam skórę zdrową i dobrą cerę i tak się srodze myliłem. Co znaczy wnikliwość prostego cyrulika. Ot, Europa!"

Fryzjer skończył golenie i rozpoczął szereg zabiegów: prażył mi twarz gorącemi kompresami, szczypał maszynką ręczną, prasował elektryczną, a maszynki trzeszczały, wyły, bulgotały, poczem ucichły, a gdy zaczął na mnie dać z jakiejś trąbki rozpylony puder, zakszłusiłem się.

Płacąc w kasie sumkę, za którą u nas możnaby było ogolić kilkanaście bród, ostrzyżona prawie do skóry kasjerka, szczerząc do mnie z wdziękiem dwa rzędy sztucznych zębów, wręczyła mi pakuneczek, za który zapłaciłem równowartość pięćdziesięciu poczciwych polskich złotych.

„Do masażu", zrozumiałem. Szybko opuściłem zakład mając czerwoną, prawie opuchniętą twarz. Tak być musi", myślałem, otwierając pakunek .„Europa! U nas o tem zielonego pojęcia nie mają". Lecz, gdy papier bezwstydnie odkrył jego zawartość i gdy zobaczyłem przedmioty, za które zapłaciłem tyle pieniędzy ,stanąłem, jak wryty. Na stole leżały: tutka jakiejś wazeliny, mała buteleczka z glyceryną i... dwie szczotki.

Jednym skokiem znalazłem się u fryzjera i, z rozmachem, iście pol skim wyrżnąłem: raz całym masażowym nabojem w podłogę, i drugi raz pięścią w pulchniutką twarz cyrulika.

Awantura, policja, komisarjat, koza, sprawa, areszt, lub grzywna. Całą moją fortunę loteryjną djabli wzięli.

Teraz siedzę i czekam na Twoje zmiłowanie .Przyszlij mi telegraficznie trochę grosza na powrót do Warszawy.

A tobie, mój kochany, korony drzew druskiennickich szumią nad głową i opowiadają cudne baje".

Z wystawy poznańskiej



Na Międzynarodowej Wystawie Komunikacji i Turystyki w Poznaniu, w dziale samochodowym, wystawia swe wozy również Machinenfabrik Augsburg-Nürnberg, A. G. (M.A.N.), Zakłady w Norymberdze.

Zwraca uwagę autobus dla komunikacji miejskiej na 30 miejsc siedzących i 20 stojących o obniżonem podwoziu, dzięki czemu podłoga, bez żadnego stopnia, wypada bardzo nisko, co ułatwia wsiadanie i wysiadanie, a jednocześnie niskie położenie środka ciężkości zapewnia spokojny bieg wozu. Uzyskanie powyższych zalet możliwe jest jedynie dzięki silnemu wykrępowaniu ramy i specjalnej budowie tylnej osi (napęd kołami czołowemi, zewnętrzne hamulce). Autobus wyposażony jest w silnik M.A.N. 6-cylindrowy, 100 KM, wysoce elastyczny. Servo-hamulec na 4 koła syst. Bosch-Dewandre i hamulec silnikowy M.A.N. zapewniają zupełne bezpieczeństwo ruchu.

Pozatem wystawione są dwa podwozia: jedno podwozie niskie nośności 5000 kg., zaopatrzone w motor M.A.N. benzynowy 6-cylindrowy, mocy 85 KM, hamulec silnikowy, servo-hamulec syst. Bosch-Dewandre na 4 koła, na pneumatykach-olbrzymach. Podwozie to nadaje się specjalnie na autobusy średniej wielkości do 37 pasażerów, jak również jako większy wóz do obsługi klijenteli przedsiębiorstwa hurtowego lub t. p.

Dalej jedno podwozie ciężarowe o nośności 7000 kg, specjalnie mocnej budowy do transportu większych ciężarów i pracy z przyczepką. Do napędu służy dobrze znany 4-cylindrowy silnik M.A.N. benzynowy o mocy 65 KM. I tu również zastosowanie znalazł hamulec silnikowy. Wóz wyposażony jest w specjalne gumy, wysoce elastyczne. Jako nadwozie przewidzieć się daje: zwykła platforma, zamknięta skrzynia, wywrotka mechaniczna lub hydrauliczna, zbiornik do przewozu płynów wszelkiego rodzaju, zbiornik do polewania, specjalna skrzynia do wywozu śmieci i t. d.

Narzeczona

(Dokończenie ze str. 7-ej)

i ruskie, i niemcy, i austryjackie oficery. A pan Polak i taki nieużyty.

— To właśnie dlatego z polskim oficerem pani nie pojedzie, — huknąłem zagniewany do ostateczności. — I proszę mi nie zawracać głowy.

Poczem niezbyt gościnnie zatrzasnąłem drzwi przedziału.

Rozmyślania moje na temat „nieograniczonych możliwości" przerwał wierny Kruk. Poczciwy ten ptak zameldował mi, że szczęśliwa para — Popokapetl i Meduza — pobiegła naprzód do parowozu, gdzie coś długo perorowała z maszynistą. Potem zaś siadła na brek przedostatniego wagonu.

— Czy mam ich spędzić? — spytał poczciwy sierżant.

— Ani mi się waż. Siadaj tutaj i zastąp mnie. Idę na parowóz.

*

Ruszyliśmy z wielkim chrzęstem szarpanych łączników i szparko potoczyliśmy się ku kieleckiemu płaskowzgórzu. Poczciwy „Decapod" — zdobyty na Niemcach—ciągnął, jakby rozumiał, że dopiero w państwie polskiem znalazł właściwe zajęcie. Budząc głośne echo przelecieliśmy przed skromnym budynkiem stacyjnym w Sławkowie.

— Co od pana chciał ten komisarz, panie mechaniku?

— At, głupstwo. Prosił, żeby mu w Olkuszu sfolgować.

— Panie mechaniku, to wojskowy transport idący na front. Każda stracona minuta może mieć wielkie znaczenie. A zatrzymanie pociągu towarowego to duża strata czasu. Jeśli będzie wolna droga, proszę jechać.

— Kiedy obiecałem...

— To mało. Kto jak kto, ale komisarz powinien wiedzieć, że kobiet nie wozi się transportami amunicji. Tego jeszcze nie było. Zresztą — niech pan aby jedzie. Pilno nam wszystkim. A w Skarżysku znajdzie się dla pana butelczyna starego Chianti.

W międzyczasie minęliśmy Bukowno. Ciężko sapiąc wdarł się „Decapod" na górkę. Jak okiem sięgnąć leżały skośne, zaśnieżone pola, poprzerzynane głębokiemi jarami. Na stokach rosły samotne świerki. Ołowiane niebo wisiało nisko, zda się dotykając posrebrzonych sznorem telegraficznych drutów. Groziło śniegiem.

Podrygując zabawnie swem opasłem cielskiem, „Decapod" począł staczać się ku Olkuszowi. Spojrzałem do tyłu. Długi wąż naładowanych amunicja wagonów biegł posłusznie za parowozem. Słupy telegraficzne przesuwały się dość szparko. Musieliśmy jechać z 50 kilometrów na godzinę.

Semafor wjazdowy otwarty. Trzy podskoki i głucha czkawka na zwrotnicach. Ssiach! — mija pompa stacyjna. Teraz tylko aby wyjazd mieć wolny.

Jest! Brawo! Kosmata łapa sygnału wesoło sterczy ku górze. Naprzód!

Maszynista szeroko otwiera regulator. „Decapod" mruczy z rozkoszy jak kot, którego drapią pod szyję. I jednym haustem podrywa swój grzechoczący ogon. Jakąż minę muszą mieć ci tam na breku.

Ściemnia się. Poczyna padać drobny, twardy śnieg. Mijamy Rabsztyn, potem Wolbrom. Droga wszędzie wolna. Otuleni obłokiem pary pędzimy na północ — ku wojnie.

Miechów. Małe zwolnienie — ale nie dość jeszcze by móc zeskoczyć. Człowiek przy szabli i ostrogach, a kobieta w sukni ryzykują wiele skacząc z towarowego wagonu.

I znów pola poprzerywane białemi pasmami wyżyn. Jedna z nich zbliża się powoli, staje wpoprzek drogi. Daremnie żelazny szlak stara się ją obejść. Dolinka zwęża się, zacieśnia. I nagle niby twarz śpiącego olbrzyma wykwita przed nami szara masa góry, przecięta czarnemi ustami tunelu. Za chwilę z głuchym łoskotem zapadamy pod osmolone sklepienie.

„Decapod" prycha iskrami i wodzi po ścianach czerwonym zarzewiem paleniska. Kłęby dymu nie znajdując ujścia, stłaczają się pod stropem, ścieląc się wzdłuż ścian. Nic to chwilowo — bo pędzimy naprzód — ale biada tym tam w końcu pociągu. Będą mieli kąpiel dymową.

Z czarnej czeluści wypadamy znów w biały zimowy krajobraz. Noc prawie zupełna. Śnieg gnany wiatrem sypie — aż miło. Druty telegraficzne wypłakują swą odwieczną skargę: Dlaczego nas męczą?...

Wreszcie szereg migotliwych światełek i poprzez śnieżne kraty długi rząd czarnych plam. Sędziszów!

— Tu już muszę stanąć, — mówi mechanik.

— Zabrakłoby wody.

— Dobrze. A ile stąd kilometrów do Olkusza?

— 62. Prawie dwa razy tyle co ze Strzemieszyc.

*

Prychając raźno pije „Decapod" swą zwykłą dawkę wody. Na peronie kilku kolejarzy przechadza się smętnie. Śnieg ustał. Lampy stacyjne rzucają na ośnieżone tory, długie złote błyski. Jest zimno.

Wchodzę do bufetu. I zaraz na wstępie uderzają mnie dwie postacie, jakby żywcem wyrwane z jakiejś wiejskiej maskarady. On półkominarz, pół-św. Mikołaj, — ona Herod-baba, którą straszą dzieci. Oboje osmoleni, okopceni, ośnieżeni i zlodowaciali. Symfonja *en blanc et noir*... Biedny bóg słońca nie świeci już ani trochę. Zmatowiał.

— A państwo skąd? — udaję zdziwionego.

— Chyba samolotem? Bo i tacy zmarznięci.

— Prawie, panie poruczniku, — nadrabia miną komisarz. — Właśnie inspektor okręgowy pożyczył nam samochodu. To prawdziwie grzeczny człowiek...

— I pewnie, — biorę to za dobrą monetę. — Ale nie radzę drugi raz z „takiego" samochodu korzystać. Mogliby państwo zmarznąć — mimo, że jesteście narzeczonymi. A już lepiej nie narażać się na nieszczęście.

— O jakim nieszczęściu chce pan mówić?

— Jedno pana ominęło przed chwilą: Zmarznięcie na breku. Ale drugie siedzi obok. Radzę tedy być ostrożnym.

I wskazawszy wymownym ruchem na tającą zwolna Meduzę, ruszyłem do pociągu.

Czy biedak mojej rady posłuchał — niestety nie wiem.

Warna

(Dokończenie ze str. 6-tej)

przedmiot, lub wreszcie na słynne pobojowisko pod Warną, które w swem wnętrzu kryje drogie dla nas, polaków, prochy młodocianego króla Władysława i jego mężnej drużyny, która tu przed wiekami złożyła kości w rycerskim, bezinteresownym porywie.

Wieczorem cała elita kąpieliskowa gromadzi się w rozległym i pięknym parku, położonym tuż na wybrzeżu, w pobliżu zakładu kąpielowego. W rzęsiście oświetlonych salach kasyna, wraz z obowiązującą elegancką wieczorową tualetą, przy dźwiękach jazz - band'u powracają liczni goście do starych nawyków wielkomiejskich środowisk. Tu corocznie odbywają się też przepiękne festivale, zaznajamiające zagranicznych przybyszów z oryginalnością i bogactwem bułgarskiej muzyki i sztuki. Najlepsi aktorowie i śpiewacy zaspakajają artystyczne potrzeby cudzoziemców, przeważnie Niemców i Czechów, którzy, z właściwym sobie zmysłem praktycznym, zdawna już oceniwszy zdrowotne i materjalne korzyści pobytu w Warnie, corocznie tysiącami śpieszą do tej uroczej miejscowości.

Tylko Polaków spotyka się naogół mało, co jest tem dziwniejsze, że pokrewny język słowiański ułatwia nam znakomicie porozumiewanie się z krajowcami, a właściwości bułgarskiego bytu, obyczajów i kultury powinnyby u nas wzbudzić żywsze zainteresowanie. Jest przytem Warna jednem z najtańszych kąpielisk nad południowem morzem.. Ceny hotelów, pensjonatów i mieszkań prywatnych i utrzymania znacznie od polskich niższe. Przytem obfitość i taniość winogron i innych południowych owoców i racjonalna, higjeniczna kuchnia bułgarska, której główną podstawę stanowią właśnie te owoce, jarzyny, oliwa, jugurt i inne t. p. mało u nas dostępne przysmaki, przyczyniające się, obok kąpieli i pięknego śródziemnomorskiego klimatu, niemało do odrestaurowania zdrowia, pobudzenia apetytu i żywszej przemiany materji.

Z odnowionemi siłami, z zapasem zdrowia i wzmożoną energją powracamy po parotygodniowym pobycie w Warnie do przerwanej pracy, do codziennego bytu, wspominając z wdzięcznością gościnny brzeg starożytnego Pont euxin'u.

Jadwiga Grudzińska.

Na polskich szlakach marszowych

(Dokończenie ze str. 2-giej)

Z biegiem czasu dodane zostanie pewne niewielkie obciążenie, by na miejsce zbytniej niepotrzebnej szybkości wprowadzić raczej wytrzymałość i spoistość drużyny podczas dłuższych, dochodzących do 60 km., marszów.

Pewnej normalizacji musi ulec też ekwipunek drużyny, który narazie szwankuje najmocniej w dziedzinie obuwia.

Wprowadzenie marszów w różnych okolicach kraju prawie corocznie na innych szlakach budzi żywe zainteresowanie ludności wiejskiej, która z roku na rok liczniej obstawia trasy marszów, by podziwiać dziarsko maszerujące drużyny.

Dużo też młodzieży wiejskiej — jednego roku obserwującej marsz — na drugi rok bierze w nim już udział.

Tak więc urok dodatnich cech w dziedzinie wychowania fizycznego, przysposobienia wojskowego, są zawsze pewną propagandą idei wychowania fizycznego i obrony państwa na kresach Rzeczypospolitej, propagandą żywą, wychodzoną nogami naszych nieznanych piechurów, przeważnie synów polskiej wsi.

J. MISIEWICZ.

Oszuści na wielką skalę



Sieradzki Juljan.



Jan Kwieciński.

Zapewne, że przytoczenie na wstępie utartego aforyzmu: „zabrakłoby naiwnych — nie stałoby i oszustów", byłoby może najefektowniejszem rozpoczęciem niniejszego artykułu. Jeśli jednak nie poszliśmy na to, to dla tej przyczyny, że efekt tą drogą osiągnięty zatrułby nam przeświadczenie, że bądź co bądź czynimy w ten sposób ujmę „zawodowej reputacji" oszustów na wielką skalę, znanych pod nazwą „hochstaplerów". Nie tyle bowiem naiwność poszkodowanych (choć i ta jest czynnikiem sprzyjającym nielada), ile niezwykły spryt, nieograniczona wprost pomysłowość, przesubtelne wykonanie wnikliwie obmyślanego planu, nadzwyczajna przytomność umysłu w każdym momencie działania, wspomagane wydatnie tupetem, miłą powierzchownością, giętkością towarzyską — decyduje o powodzeniu poszczególnych przedstawicieli tej śmietankowej warstwy oszustów.

Niewiele jest rzeczy łatwiejszych od rzucenia frazesem: „nie trzeba być naiwnym", o wiele trudniej zetknąć się z takim wszechstronnie uzdolnionym w swoim kierunku jegomościem i nie paść jego ofiarą. Bo i proszę tylko pomyśleć. Taki pan, to nie jest pierwszy lepszy „patałach", którego już zdaleka czuć czemś niewyraźnem. Przeciwnie, jest to człowiek zazwyczaj rozbrajająco miłej powierzchowności, znakomicie obyty towarzysko, nierzadko z poważnym zasobem wykształcenia, uzbrojony w aż nadto wystarczający zakres skrzętnie zebranych wiadomości co do środowiska i warunków, wśród których zdecydował się aktualnie żerować. Chwyta on i wyzyskuje w lot każdą sprzyjającą sposobność każdą słabostkę ludzką, a przytem jest człowiekiem *atakującym* i to nie obces, a w sposób wyszukanie zamaskowany. Proszę do tego dodać wielkie poczucie umiaru takiego pana, który naogół nie dopuści się przeciągnięcia struny, z przedziwną zdolnością wyczucia, orjentując się, czy sytuacja dojrzała już dostatecznie do sięgnięcia po plon, bądź ulatniając się na czas, gdy atmosfera w sposób niepokojący zacznie się zachmurzać — proszę do tego, powtarzam, jeszcze to dodać, a obraz będzie chyba już zupełny. Spróbujcie teraz takiego pana przejrzeć na czas — jeśli wam się to uda, to w przeważnej części wypadków będzie to conajmniej o sekundę zapóźno.



Ptaszkowicz Adam Ignacy.



Ajzenberg Ignacy.

Jeśli jednak jest rzeczą bardzo trudną dojrzeć pajęczą sieć, zarzucaną przez „hochstaplera", to fakt ten tembardziej skłaniać powinien do stałego przestrzegania tego prostego„ życiowego przykazania: nigdy zadużo ostrożności w stosunkach z ludźmi mniej znanymi. Kroniki kryminalne są pełne pod tym względem pouczających przykładów. Przytoczymy z nich kilka: jeśli przyczynią się do pobudzenia powszechnej czujności, da nam to miłą satysfakcję, że artykuł niniejszy spełnił swe zadanie.

Gdyby nie fakt, stwierdzony przez władze bezpieczeństwa, że przedmiotem oszukańczej sprzedaży stał się w pewnym wypadku wóz tramwajowy, będący na równi z całym taborem tramwajowym własnością miasta, to mielibyśmy obawę, że możemy być posądzeni o zbyt daleko posuniętą fantazję. A jednak miało to miejsce przed kilku laty w Warszawie. Ofiarą sprytnego oszusta padł przybyły z prowincji, szczęśliwy sukcesor wcale pokaźnej gotówki. Nie będziemy wchodzili w szczegóły zawarcia przez nich znajomości, dość że od słowa do słowa zgadało się, że przybyły, zamyślając o jaknajkorzystniejszem ulokowaniu kapitału, nosił się z zamiarem kupienia taksówki. Taksówka? — podejmuje oszust — Hm... oczywiście, jest to ostatecznie interes, przynoszący dochód. Ale to interes groszowy, w porównaniu z tramwajem. Wystarczy rzucić okiem: całemi sznurami wyczekuje to na rogach na pasażerów. A tramwaj? Ba, do tramwaju pchają się ludzie jeden przez drugiego. Szczęśliwy przy-

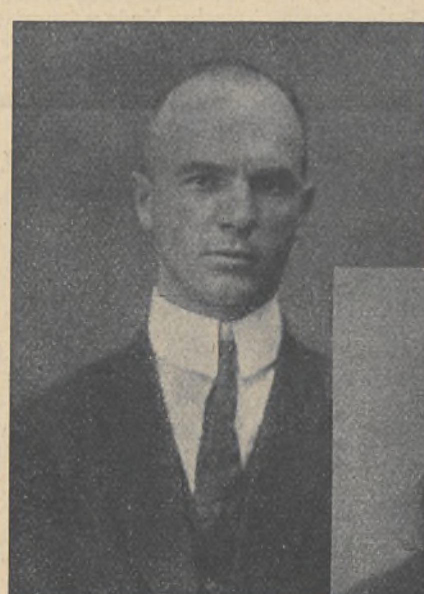


Cynian Alfons Kazimierz

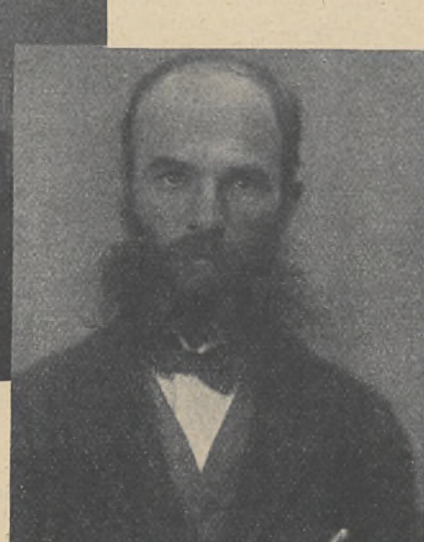


Małujło Kazimierz.









Jak charakteryzacja zdolna jest zmienić osobowość oszusta świadczą powyższe 4 fotografje Władysława Mejera.

padek zdarzył nawet, że jest właśnie właścicielem kilku tramwajów, może go więc po znajomości objaśnić co do tego interesu. A jeszcze lepiej, pokaże mu rzecz naocznie. Co tam jedzie? Aha, czwórka — to nie jego, następny także obcy, te dwa dalsze jak na złość — to samo, ostatecznie jednak mają przecież czas, mogą poczekać. No, wreszcie jedzie osiemnastka, to już jego. Najbardziej dochodowa linja, bo przechodzi przez najludniejsze dzielnice miasta, mogą zresztą wsiąść. Tedy wsiedli. Oszust, mając niezależnie od sprytu, niepowszednie poczucie humoru, nie omieszkał zagadnąć konduktora przy wejściu, jak dziś idzie interes, czy zbierze się do wieczora ze dwieście złotych i t. d., na co konduktor, biorąc to za zwykłą, przygodną pogawędkę, uprzejmie odpowiedział, ku zadowoleniu oszusta i upatrzonej przezeń ofiary. W dodatku nie pozwolił oszust swemu towarzyszowi uiścić należności za bilet. Jakże? miałby dopuścić, aby *jego* przyjaciel płacił w *jego* tramwaju? Przecież widział chyba, jak okazał konduktorowi kartę specjalną, którą ma każdy właściciel. Oczywiście, przyjezdny widział, a ponieważ nie orjentował się nawet, że wszystkie tramwaje w mieście stanowią własność magistratu, więc tembardziej nie wiedział, że taką „specjalną kartę", mającą znamionować właściciela, a będącą niczem innem, jak biletem na 10 przejazdów, może mieć każdy, kto zgóry zapłaci należną kwotę, chcąc uniknąć wyciągania za każdym razem drobnych. Tedy wysiadł, przekonany ostatecznie do tramwaju, jako dobrego interesu, pełen zadowolenia, a jednocześnie wątpliwości, czy jego przygodny znajomy byłby na tyle naiwny, aby mu odstąpił choć jeden z kilku posiadanych wozów. Znajomy *okazał się* jednak naiwny, bo wprawdzie dopiero po usilnych namowach i wielkiem wahaniu, ale ostatecznie zgodził się. Co prawda, za sumę nie poślednią (bodajże 6.000 zł. płatnych zaraz, a reszta w ratach), ale to bagatela, w porównaniu z rentownością takiego interesu. A więc poblizka knajpka, parę wódek, papier, pióro, atrament i umowa gotowa. I to nie byle jaka, bo zawierająca w końcu tekstu upoważnienie do odbierania w remizie tramwajowej codziennego targu. Nie wiedział biedak, że ta remiza okaże się grobem jego różowych nadziei, przekonał się dopiero wówczas, gdy zgłosił się po dzienny targ: nie chciano go tam początkowo serjo traktować, biorąc za warjata, gdy jednak wylegitymował się ze swych „praw" czarno na białem, skierowano go do policji. Tam w albumie poznał oszusta, którym się okazał bogaty swą przeszłością kryminalną Cynian dwojga imion Alfons-Kazimierz. Po pewnym czasie ujęto Cyniana, zdoławszy nawet odebrać mu część kwoty, uzyskanej z tak pomysłowo przeprowadzonej tranzakcji.

Dopiero przyszłość przyniosła poszkodowanemu pewnego rodzaju pociechę, coprawda wątpliwej wartości. A więc przedewszystkiem w osobie pewnego kmiotka z pod Siedlec, któremu tenże sam Cynian, wkrótce po odsiedzeniu kary za tranzakcję tramwajową, sprzedał na rozbiórkę ni mniej, ni więcej.... tylko pomnik króla Zygmunta, wznoszący się strzelistą kolumną na pl. Zamkowym w Warszawie. Następną ofiarą Cyniana padło przed niedawnym czasem towarzystwo, będące właścicielem toru kolejki wązkotorowej, która miała prowadzić z Warszawy do Izabelina, której jednak budowę przerwano z przyczyny braku dostatecznych funduszów. Ten właśnie tor, zarastający już potrosze trawą, upatrzył sobie Cynian: najawszy grupę robotników, począł go w grudniu 1929 r. rozbierać z miną najprawdziwszego właściciela i rozsprzedawać na szmelc, co mu się udało w przeważającej części, zanim się na początku marca r. b. spostrzeżono i przyłapano go.

Fałszywie pojęta duma narodowa mogłaby nas wzbić w ambicję, jeśli się zważy, że opisane tranzakcje były bodajże jedynemi sprzedażami tego rodzaju w świecie. Ponieważ jednak takiej opacznej ambicji nie mamy, przeto przejdźmy do innego ciekawego wypadku oszustwa, który zresztą również posiada znamiona wyłączności w znaczeniu międzynarodowem. Mamy tu na myśli sprzedaż cudzego domu, dokonaną z zachowaniem pełnego ceremonjału natury formalnej, w kancelarji najprawdziwszego rejenta, w hipotece (!). Tutaj ofiarą padł już nie byle kto, ale dom handlowy, będacy własnością trzech braci. Do tych to trzech doświadczonych handlowców, pewnego pięknego dnia 1927 r. zgłosił się jegomość, podający się za właściciela biura handlowego w Warszawie przy ul. Bielańskiej 4 i w imieniu właściciela domu przy ul. Próżnej Nr. 12 zaproponował sprzedaż tej nieruchomości. Po sprawdzeniu okazało się, że oferujący nieruchomość pośrednik jest rzeczywiście właścicielem wskazanego domu handlowego, czynnego coprawda od niedawna, posiadającego może niezbyt wyraźny zakres działalności, ale to ostatecznie wartości zaoferowanego domu nie obniża. Równie bez znaczenia był, oczywiście, fakt, że właściciel nieruchomości przebywał stale, daleko poza Warszawą, skoro wspólnik oszusta, przygotowany do wystąpienia w roli właściciela na ostatni guzik, był każdej chwili do jego dyspozycji. Gdy tedy oględziny domu (które „przypadkowo" przeprowadzono w czasie, gdy dozorcy nie było na miejscu), wypadły zadawalająco, przystąpiono z właścicielem do ostatecznego targu. Dzięki niezwykłemu talentowi medjatorskiemu, wykazanemu przez pośredniczącego, zakończono targ ku obopólnemu zadowoleniu sumą 20.000 dolarów płatnych gotówką przy akcie kupna i zobowiązaniem na resztę należności (coś około drugich 20.000 dolarów), uiszczenia jej w towarze (manufakturą). Epilog odbył się u rejenta w hipotece, gdzie po wylegitymowaniu się jednego z oszustów sfałszowanym dowodem osobistym, na nazwisko rzeczywistego właściciela domu, akt kupna został jak najformalniej sporządzony. Można sobie wyobrazić przerażenie nabywców oraz rejenta, gdy się rzecz wydała. Na szczęście w niedługim czasie jednego z oszustów (tego pośrednika), którym się okazał dobry znajomy policji Józef Kaliński — pochwycono; co najważniejsze jednak, u przyjaciółki jego, zresztą właścicielki kamieniczki przy ul. Freta, odnaleziono około 12.000 dolarów, stanowiących przeszło połowę oszukańczo zdobytej sumy.

(D. c. n.)



Dom przy ulicy Próżnej 12, sprzedany naiwnemu nabywcy przez sprytnych oszustów. *(fot. Sitkowski)*




Miss Mc Pherson wybrała się z pielgrzymką do Palestyny i dopomaga sobie obrządkami zaczerpniętemi z Pisma Świętego do utrwalenia wśród rzesz swych adeptów kultu ewangelicznego. Chrzest w wodzie Jordanu i mycie nóg pielgrzymom w Betleemie.

Ostatni magowie XX wieku

Jakże strasznie dużo jest nędzy duchowej na świecie, nędzy w najgłębszem tego słowa znaczeniu, jeśli dziś, w wieku cywilizacji i wśród najbardziej kulturalnych społeczeństw posłuch znajdują — ba, masy nawet pociągają za sobą, egzaltowane jednostki, niewiadomo skąd przybyłe, *ex cathedra* przemawiając do tłumów.

Zjawisko to występuje w jaskrawej formie w Stanach Zjednoczonych, gdzie niektóre z nieoficjalnie uznanych wierzeń praktykowane są w tak hałaśliwy i merkantylny sposób, iż mimowoli kierują masy w objęcia przelicytowujących się w metodach propagandy „proroków“ i sekciarzy.

Nie mówiąc już o mormonach, oto naprzykład taka Mary Baker z Bostonu, która założyła w roku 1879 „Naukowy Kościół Chrystusa“ i zdołała w przeciągu kilkudziesięciu lat zjednać sobie setki tysięcy adeptów. Jakiemi danemi operuje owa „naukowa chrześcijanka“? Oto twierdzi, że ci tylko, co stosują się do reguł jej sekty mogą w razie choroby liczyć na wyzdrowienie — i to dzięki zabiegom „naukowych kapłanów“. Dziw, że zdarzają się wypadki, które doprawdy graniczą z cudem — a wszystko to, wyolbrzymione w odpowiedni sposób drogą rzeczywiście naukowej propagandy przyczynia się do zdobywania coraz szerszych wpływów. W ciągu trzydziestu jeden lat praktyki zbudowała Mary Baker 3 tysiące świątyń i przysporzyła swemu Kościołowi setki miljonów dolarów. Bodaj to znachorstwo!

A Billy Sunday, zawodowiec „base ballu“ który jeździ wzdłuż i wszerz po całych Stanach, przemawiając do tysięcznych tłumów w imię Najwyższego i to w sposób niezwykły, gdyż trudno wprost przedstawić sobie w jak ordynarnych, brukowych wyrażeniach formułuje swe myśli.

Ama Mc Pherson posiada kilkaset tysięcy wyznawców, a „świątynia“, którą wystawiła w Los Angeles, kosztowała 1.500.000 dolarów. Szczególna ta osoba, zanotowana dzięki swemu rozwiązłemu życiu w kronice sądowej, posiada własnego operatora radjowego, kinematograf i inne t. p. akcesorja, a gdy przemawia do tłumów, czyni to w sposób cyrkowo kabaretowy, w ekstrawaganckich strojach, w blasku jupiterów i na tle nawpół jazzbandowej orkiestry.

Albo fenomenalna Uldina Utley, czternastoletnia dzieweczka, występująca nawet w niektórych świątyniach protestanckich i w... hallu Madison Square Garden, przeznaczonym zazwyczaj na zawody sportowe.

Wprost nie do uwierzenia — a jednak fakt, smutnie świadczący o nędzy duchowej naszych braci z za oceanu, uważanych za godnych pozazdroszczenia.

Boć niema chyba gorszego upadku, jak chronienie się w rzeczach wiary pod skrzydła błaznów i szarlatanów — astralnych, bo doprawdy „z pod ciemnej gwiazdy“...



Ama Mc. Pherson przed objektywem aparatu kinematograficznego czaruje lwa.

„7 DNI“ WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA“ S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska“, Warszawa. Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.